

Żelaznica

D W U T Y G O D N I K S P O Ł E C Z N O - K U L T U R A L N Y

Nr 16 Rok I

ŁÓDŹ, 16—31 GRUDNIA 1955

Cena zł 1.50

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

Przeciw fałszywym prorokom

DYSKUSJA wokół naszych kłopotów z młodzieżą zaczyna drepnąć w kółko. Przybiera ona niekiedy postać błędnego koła. Wyższe uczelnie narzekają, że absolwenci szkół średnich to typowe niedouki, nauczyciele liceów przerzucają winę na swoich kolegów uczących w klasach niższych, ci znowu odpowiadają: poziom niski i owszem, ale to dlatego, że Wyższe uczelnie „produkują” lichych pedagogów.

Jedyną szczęśliwą okoliczność stanowi w takich warunkach fakt pominięcia przedszkoli i żłobków. A przecież można by od błędy dowodzić, że nasze niepowodzenia wychowawcze — to rezultat bezdusznego stosunku pielegniarstwa do niemowląt. Ostatecznie, czym skorupka dla młodu nasiąknie...

Dyskusja przybiera czasem charakter krytyczny i to jest dobrze, czasem jednak już tylko pozornie demaskatorski a najczęściej mało konstruktywny. Widzicie tego potwora? Pije, bije spokojnych obywateli, dybie na cześć każdej ładniejszej kobiety, gwałci z wielkim powodzeniem, żeni się nie chce. Potwór to idealnie bezieowowy, leniwy, ani mu w głowie lektura Horacego! Oto właśnie nasza młodzież w świetle wypowiedzi rzekomych „odkrywaczy prawdy” i „demaskatorów”. Jedyną zaletą potwora jest to, że należy do ZMP, lub uczęszcza łaskawie do jakiejś tam szkoły. Jego zaplącaną, mało sympatyczną twarzą mogłyby nasze matki straszyc niegrzeczne dzieci. (Jak się nie poprawisz — będziesz za karę należał do ZMP, a tam cię zanudzą, będziesz za karę chodził do szkoły, a tam zrobisz z ciebie osła, będziesz pracowała w Nowej Hucie, a tam cię zgwałcą!). Można również twierdzić, że tacy np. chuligani są niezbędni dla rozwoju naszej nauki. To przecież im, a nie innej młodzieży, poświęcili naukowcy z „Po prostu” studium, w którym z niesłychaną powagą badają „różnorodność elementów kulturowych grupy chuligańskiej”. Jeszcze trochę, a wykryjemy naukowe prawa, rządzące „folklorem chuligańskim”, maluczko a zjawisko urosnie do rangi historycznej konieczności i zyska odpowiednią katedrę na uniwersytecie.

Wstrząśnięty byłem wypowiedzią starszej już, doświadczonej nauczycielki. Długoletni pedagog oświadczył, że na skutek gruntownej lektury naszej prasy, partyjnej przecież, zaczyna wierzyć w jakieś nadprzyrodzone siły. No, bo jeżeli z tak potworną młodzieżą, stanowiącą przecież większość w Nowej Hucie, na Żeraniu, w Wierzbicy czy Starachowicach, osiągamy pewne sukcesy, idziemy naprzód — snadź czuwa nad nami opatrność. Nauczycielce nie chodziło bynajmniej o to, że pokazujemy w prasie ujemne przejawy w życiu młodzieży, ale że wyjścia nie widać. Konstruktywna, programowa część opisów jest „błaha, wiotka, krucha” — jak mówił Słowacki.

* * *

Myszę, że powinniśmy głębiej przeanalizować głosy, jakie padły i jeszcze padną w dyskusji zapoczątkowanej przez profesorów Schaffa i Chałasińskiego. Czy wnoszą one coś istotnego do interesującej nas kwestii wychowania młodzieży? Wbrew pozorom — tak. Wnoszą, choć przecież nie ten problem zaprzęta uwagę dyskutujących.

Przedstawiciele nauki zgodzili się co do zasadniczych braków naszej humanistyki, stwierdzili m. in. konieczność wypracowania nowych, marksistowskich kategorii naukowych, przy pomocy których można byłoby badać podstawowe procesy kulturalne zachodzące w Polsce Ludowej. Komu dziś wystarczy słuszne sformułowanie, że przekształcamy się w naród socjalistyczny? Chcemy wiedzieć, jakie ludzkie przeżycia towarzyszą temu procesowi, jak się rozwija ludzka świadomość. Komu wystarczy twierdzenie, że pogłębiamy rewolucję kulturalną? Jak przebiega ona na wsi, czy tak samo jest wśród robotników, czy i jakie sukcesy odnieśli w walce o nowego człowieka nasi pisarze, plastycy, muzycy? Chcemy, w miarę możliwości, skutecznych narzędzi badawczych, umożliwiających

poznanie przeobrażeń zachodzących w sferze humanistycznego życia człowieka, jego dramatów i radości.

A z owymi narzędziami — nienajlepiej. Widać to szczególnie w tak ważnej dyscyplinie nauk humanistycznych — jak pedagogika, która rozstrzyga o celach i metodach socjalistycznego wychowania młodzieży. Z celami jeszcze pół biedy. Prawie każdy nauczyciel zapytany o nie — przyrzucił oczy i wyrecytuje paciorek, składający się z pięknych i pobożnych życzeń. Gorzej natomiast z ich realizacją.

Jeżeli mnie pamięć nie myli — bodaj na Jubileuszowym Zjeździe ZZNP — nazwano „Piomyk” pismem dla dzieci w wieku... partyjnym, zwrócono uwagę na wyjątkowy nonsens pedagogiczny — dopuściliśmy przed dwoma laty do tego, że z podrecznika historii do klasy IV uczyli się równocześnie studenci. To się nazywa znać i uwzględnić możliwości i potrzeby różnych lat młodocności! I czemu tak się działo?

Swojego czasu wyrzuciliśmy z programów nauczania — psychologię. Że niby burżuazyjna nauka, zamać w głowie przyszłym wychowawcom, czort z nią! A dzisiaj nauczyciel, zwłaszcza młody, a dzisiaj kierownik świetlicy, domu młodego robotnika — nie ma pojęcia o psychologii wieku dojrzewania i zróznicowanych potrzebach psychologicznych i erotycznych młodzieży spojrzeć naukowo, nie umie tych problemów ani rozstrzygać, ani nawet dyskutować. Nieznajomość skomplikowanych i zróznicowanych potrzeb poszczególnych lat młodzieńczych i młodych, świat przeżyć, pragnień i marzeń, innych przecież u 10-ciolatka niż u 20 letniego młodzieńca — powoduje często brak narzędzi pozwalających odkrywać wybór niewłaściwych metod wychowawczych, stanowi o wielu niepowodzeniach.

Jakże bardzo są nam potrzebne konkretne, solidne badania rozmaitych i typowych sytuacji życiowych naszej

młodzieży, jakże bardzo brak wychowawcom naukowych uogólnień!

— Jak patrzycie na młodzież? — zapytano pedagoga.

— Jak na budowniczych socjalizmu. Czy to wystarczy za program wychowania?

* * *

W 14 numerze „Kroniki” pisze prof. J. Szczepański w sprawie autorytetu polskiego naukowca. Warto ten problem rozszerzyć, autorytet jest bowiem podstawą, niezbędnym warunkiem wychowania.

Autorytet wychowawców! Trudno w tym miejscu oderwać się od wspomnień z lat pierwszej młodości. Sądziło się wtedy, że konflikt starych z młodymi jest konieczny, stanowi jeden z nieodwracalnych dramatów w każdym pokoleniu, dramatów wynikających z biologicznej istoty wieku. Prace do przodu młode pokolenie Radków i Borowiczów popadnie zawsze w konflikt z koczowniczą, konserwatywną generacją radców — Somonowiczów i Grzebickich. I zawsze się będzie buntował, odmawiał nauczycielom i rodzicom autorytetu młody Grodzicki, bohater „Nieba w płomieniach”. Miłe złudzenia...

Pamiętamy niedawne lata, kiedy autorytet niektórych wychowawców — nauczycieli i nawet rodziców — zadziwiał z innych zupełnie przyczyn. Iluzoryczną walkę pokoleń zastąpiła twarda walka klas. Rozgrzana do białości, uniesiona rewolucyjnym zapalem młodzież skakała do oczu rodzicom, atakowała czasem przesadnie, nie zawsze słusznie i nie zawsze grzecznie wychowawców, którzy kryli się pod płaszczem obiektywizmu, „czystej wiedzy”, byle tylko nie wypowiedzieć znienawidzonego słowa — „socjalizm”.

Jeżeli dziś mówimy o możliwościach jednolitego, zwartego działania starszych i młodych — to pamiętać trzeba, że właściwa postawa ideowa wychowawców, ich jednoznaczne, zdrowe oblicze

(Dokończenie na str. 4)



Mirosław Miller

(Z X Dorożnej Wystawy Pol. Art. Plast. w Łodzi)

Głowa (gips)

Egzemplarz obowiązkowy

STANISŁAW RYSZARD STANDE

Do córki

(fragmenty)

Córeczko moja, masz dziesięć lat,
ach, jak ten czas ucieka.
I piszę do ciebie listy,
listy z daleka.
Córeczko moja, wielki jest świat
i człowiek na nim jak mucha,
jak wiatrem ciągle rzucany liść
ten list cię szuka.



Czy go zrozumiesz? — nie wiem.
Nie dziś, to jutro, za rok,
dzisiaj bardzo szybko się rośnie
i szybki jest krok.

*

Jest jedno słowo, trudne słowo
i długie słowo:
rewolucjonista.
Twój tatuś jest taki.

*

I musisz ty, dziecko,
uczyć się tych kochać,
z którymi jest tatuś.
I musisz ty, dziecko,
uczyć się tych nienawidzić,
którzy są przeciw niemu.
I pytasz czy jest bóg,
a ja odpowiadam:
nie, nie ma boga, kochanie.

Spij, śpij dziecino, śnij barwne kwiaty
Krew naszą długo leją katy —
Spij, śpij dziecino, śnij barwne sny —
Leją się ludu gorzkie łzy —
Spij, śpij dziecino, śnij barwne sny —
Nadejdzie jednak dzień zapłaty —
Spij, śpij dziecino, śnij barwne sny —
Sędziami wówczas będziem my.

I śmieli się towarzysze
z tej kolysanki dziwnej,
a ja do dzisiaj
widzę oczy twe piwne
jak z rewolucją się godząc
mgłą snu zachodząc.

*

Mówią: nam nie wolno mieć dzieci.

Potem ty na trybunie staniesz;
młoda, odważna, zdobywca
pod szum oklasków, owacji
zawołasz: „towarzysz Stande nie ma racji!”

A potem, w domu, ty do mnie przyjdiesz —
— córka — i powiesz:
tatusiu, ja ciebie kocham i cenię,
lecz sam mnie uczyłeś, że w walce o sprawę...

Chwała ojcostwu!
Chwała w przyszłość rzucanym mostom!

Moskwa 1932.

(Zachowane fragmenty listu do córki,
pisanego wierszem).

HENRYK ANDERS

W obronie sztuki humanistycznej

GASNA nie tylko gwiazdy. Pojęcia pierwsze wielkości, ongi przemieniające treścią, na naszych oczach rozspływają się w nicłość. Zacierają się blask wyrazów tak niedawno jeszcze szlacheckich, deklarowanych przy ład okazji. Realizm! Uwielbialiśmy to słowo. Wystąpienie Młodych w Arsenale było przecież podjęciem walki o właściwe jego rozumienie. I proszę: w kilku ostatnich artykułach nieustającej dyskusji nie pojawia się już ani razu. Pojawia się natomiast nowoukuty termin zamienny — krajejszczyzna. Ejże — czy to synonim?

Na marginesie: nagonkę na Krajewskich uważam, delikatnie mówiąc, za niesmaczną. Mylili się — nie byli w tym osamotnieni. Dlatego inni chodzą do dziś w aureoli sławy zdobytej dzięki tej samej pomyłce? Dlaczego milczą? Dlaczego na odmianę zbierają oklaski ludzie, którzy zapomniawszy dnia wczorajszego wracają ruchem wadliwym do teorii wyznawanych z identyczną swadą przed 1949 rokiem. Skąd ta podwójna buchalteria samokrytyki?

Czytałam kiedyś nieapetyczną fraszkę na temat odwilży i, niestety, atmosfera cokolwiek cuchnie: spód płaszczka sporu ideowo-artystycznego wylażyła nie maskowane awersy próby „odegrania się”, próby rozgrywki o stanowiska i apanaże. Najgorliwsi zdawałoby się oponenci zasady komendowania w sztuce występują dzisiaj jako jawni heroldowie nowej dyktatury — oczywiście własnej, nowych autorytetów i recept. Postarano się nawet o wzorce, leżą na składzie gotowe do powielania, szkoda tylko, że bez pięcioletniej przynajmniej gwarancji. Któż bowiem zaręczy, że obecni propagatorzy najlepszej i jedynej sztuki nie staną za parę lat pod pretekstem, jako winowajcy nowej, katastrofalnej pomyłki.

I tak np. niewatpliwy autorytet Przychosia znalazł już oddźwięk u wulgaryzujących apostołów nowej dyktatury. Co będzie, jeśli wezmą na serio dyskretną propozycję swego mistrza i, żeby się dłużej nie męczyć, zlikwidują malarstwo sztalugowe w drodze administracyjnego reskryptu? Obawiam się, że za pięć lat znowu wyśmiejemy nas w Szwajcarii.

Pewien papieroplastyk-obrazoburca, dawno już i bezskutecznie, usiłował przekonać mnie do teorii integracji. Jakoś dziwnie mało podniecająca jest wizja estetycznych koszar à la „Nowy

wspaniały świat”. Namiastkę zresztą już mamy: megafony uliczne i nastawione na pełny regulator radioaparaty sąsiadów. Lubię muzykę, a dalibóg, nie odczuwam żadnej satysfakcji.

Przez pięć lat za rozpoznawcze kryterium realizmu przyjmowano podobieństwo wygładows przedmiotu przedstawianego i przedstawianego. Kładło się przede wszystkim nacisk na formę, na realizm wykonania.

Jako dowód warto przytoczyć zdanie pewnego popularnego malarza: „Dziełem realistycznym — definiował — nazywam obraz, który pocięty na zupełnie niewielkie fragmenty, w każdym z osobna wycinku daje pełną iluzję widzialnego świata”. Błąd rozumowania jest oczywisty, ale jakże znamienne dla „etapu” sformułowanie.

Ostatnio utwierdza się pogląd, że o realizmie decyduje wyłącznie treść — według klasycznej definicji prawdy: zgodność myśli z rzeczywistością. Im głębsza jest treść, im pełniejsza, im lapidarniej przekazuje sumę ogólnoludzkich doświadczeń, a więc im bardziej oddala się od faktów jednostkowych, a zbliża do prawdy absolutnej, tym dzieło ma być bardziej artystycznie wartościowe, ergo bliższe realizmu. W ten sposób niektóre alegoryczne obrazy Picassa — „Masakra na Korei”, „Wojna i Pokój” — awansowały do rangi po winckelmanowsku rozumianego ideału, wzorca realistycznej sztuki.

Monopol na realizm treści przyznawały sobie najbardziej przeciwstawne kierunki w historii — wszystko zależało od interpretacji terminu „rzeczywistość”, odmiennej w zależności od wyznawanego „światopoglądu”. Podobne rozbieżności interpretacyjne leżą u podłoża naszych sporów, łatwo tu zauważyć przeżytki idealistycznych teorii. Dla wielu twórców jedynym światem realnym pozostaje sfera doznań wewnętrznych — jedyny materiał artystycznych dociekań.

Wbrew deklaracjom przedstawicieli kierunku, malarstwo czyste wrażeniowe nie mieści się w ramach realizmu. Dla kontynuatorów doświadczeń impresjonizmu „fotograficznego” korekta abstrakcyjnego myślenia służy wyłącznie sprawie uświadamiania sobie wrażeń istotnych i eliminacji — pochodnych. Zaostrzona obserwacja prowadzi do spostrzeżeń dostępnych dla oka specjalnie wyszkolonego i wyczulonego; w ten sposób, choć niezgodnie z potoczną intuicją, rzeczywistość ma być oddawana najcelniej.

(Dokończenie na str. 8)

Blaski i nędze

(Z doświadczeń zespołów amatorskich)

NIE trzeba chyba nikogo przekonywać, iż zespoły amatorskie mają do spełnienia poważną rolę. Służą one wielkiej idei upowszechniania kultury, a jednocześnie, ogarniając wielkie rzesze młodzieży, stają się jednym z najważniejszych ogniw pracy wychowawczej. Istnieje już w Polsce wiele amatorskich zespołów piosenki i tańca. Niektóre z nich z biegiem lat doszły do wysokiej rangi artystycznej. Wskazywały na wartości i prawdziwie piękno tańca ludowego. Szperały w regionach, by ratować z zapomnienia dawne tańce, piosenki i obyczaje wsi polskiej. Sukcesy tych zespołów zaskoczyły działaczy kultury. Jednocześnie jednak w pracy zespołów wyłoniły się problemy, których nie przewidywano.

Echa festiwalowe

Przypomnijmy festiwal. Wyróżniające się zespoły taneczne — na terenie Łodzi i województwa były ich sporo — miały w nagrodę pojechać na Festiwal. Członkowie tych zespołów jechali do Warszawy nie po to, żeby się bawić — mieli pracować. Przez 6 tygodni mieli przygotowywać się w obozie na Pradze, potem przez dwa tygodnie występować na Festiwalu nie tylko w ogólnym pokazie, ale i w ramach swolich zespołów; trzy łódzkie zespoły miały ponadto przygotować się do wzięcia udziału w międzynarodowym konkursie tańca ludowego.

Tylko laik może powiedzieć, czy były to same przyjemności i atrakcje. Oczywiście tańczyć przed festiwalowymi gośćmi było wielkim zaszczycem i zarazem radością. Ale przygotowanie do tych występów, to była wielka praca wymagająca nieraz samozaparcia.

Kto zetknął się z obozem kondycyjnym na Pradze, tego urzekł ogrom zapалу i wysiłku tej olbrzymiej rzeszy młodzieży. W trudnych warunkach pracowało wiele grup najlepszych w kraju choreografów i blisko dwutysięczna grupa najzdolniejszych tancerzy-amatorów z całej Polski. Pracowali dosłownie w pocie czoła, by dać widowisko porównywalne, o wysokiej klasie artystycznej, by pokazać nie tylko gościom zagranicznym, ale i licznym rzeszom polskich widzów i uczestników festiwalu, całe piękno i urok naszego tańca ludowego. Osiągnęli to w całej pełni. Wszystkie trzy zespoły łódzkie biorące udział w międzynarodowym konkursie tańca ludowego pracowały bardzo ofiarnie, odmawiając sobie zabaw festiwalowych. Pracowały także i te zespoły taneczne, które przyjechały na Festiwal na trzy dni, aby dać 6-7 występów, jeździć od jednej estrady do drugiej. Często wracali one późną nocą do miasteczka na Rakowcu; niewiele z samego Festiwalu widzieli, zajęte gorączkową pracą. Pracą — podkreślam to specjalnie. Pracę tę młodzież wykonywała z radością i entuzjazmem, tym bardziej należy ją za to cenić.

Młodzież wróciła z Festiwalu w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Wróciła spracowana, ale i zadowolona. I oto w niektórych zakładach pracy spotkała się z wymówkami: „No tak, bawiliście się, a my musieliśmy za was pracować. Przez was nie wykonaliśmy planu!”

I tu zaczyna się problem. Rzeczywiście — odeszli od produkcji. Jedni na tydzień, drudzy na 3-4 dni, a ci z obozu na Pradze — na 2 miesiące. Zarządzeniem Prezesa Rady Ministrów uczestnicy zespołów występujących na Festiwalu mieli mieć urlopy płatne, nie wliczone w urlop wypoczynkowy. Tymczasem niektóre instytucje wliczyły w urlop dni festiwalowe. Posunięcie krzywdzące, podobne jak i owe zamaskowane albo i nie, zmiany, przeniesienia i — jakoby — kompresje etatów. A docinki i złośliwości obarczonych zastępstwami kolegów — czy to nie boli uczestnika Festiwalu?

Okazało się, że uczestnik zespołu amatorskiego staje się dla zakładu pracy niewygodny. Bo to i na każdej zmianie nie może pracować (próby) i często wyjeżdża.

W jednym z powiatowych miast, przy przyjmowaniu do pracy, pytano kandydata, czy czasami nie należy do jakiego zespołu artystycznego. A gdy naiwnie przyznał się, że tak, długo namyślano się, czy go zatrudnić.

Gdyby nasze łódzkie zespoły nie stały na wysokim poziomie, nie brano by ich na obozy, koncerty, wyjazdy. Dziecko wyrosło ze swojego kusego ubranka. Co z nim teraz począć?

A produkcja to przecież najważniejsza rzecz. Oczywiście, Festiwal nie odbywa się co roku w naszym kraju i takie intensywne życie w ruchu amatorskim nie powtórzy się przedko.

Niemniej problem jest poważny i trzeba się nad nim zastanowić.

Czy ruch amatorski wychowuje?

Jeżeli amatorski zespół artystyczny potrafi przyciągnąć i zainteresować grupę młodzieży, jeżeli umożliwi jej zdrowe życie w pracy artystycznej, jeżeli zaszczepi jej umiłowanie piękna i sztuki, jeżeli powieże swoje zająta w interesujący sposób z zagadnieniami

mi zakładu pracy czy szkoły, jeżeli wreszcie potrafi ustrzec ją od chuligaństwa, to spełni wielkie zadanie wobec społeczeństwa.

Najwłaściwszym terenem zespołu artystycznego jest świetlica przy zakładzie pracy. Przynajmniej takie było pierwotne założenie ruchu amatorskiego; praktyka wniosła tu swoje niezawodne pozytywne poprawki.

Nie w każdym zakładzie zespół jest prowadzony atrakcyjnie, czasem w ogóle go nie ma, młodzież wówczas „wędruje” w poszukiwaniu życia się. Trafia do innych zespołów, przy innych zakładach pracy. Rzadko się zdarza, by człowiek „obcy” interesował się zakładem, w którym nie pracuje. Zespół mający w swym składzie wielu „obcych” odrywa się od swego zakładu. Niedobrze dzieje się, gdy świetlica, mająca ambitne plany, ściągając młodzież tylko do siebie, nie bacząc na to, że jednocześnie innemu zespołowi zabiera uczestników.

I tu nasuwa się pytanie. Czy umożliwić młodzieży to „wędrowanie”? Czasem jest to koniecznością dla uzdolnionej jednostki, nie znajdującej właściwego kierunku w nieudolnie prowadzonym zespole macierzystym, częściej jednak obserwujemy niezdrowe objawy poszukiwania miejsca, w którym praca lepiej się „opłaca”.

Jeest niewątpliwie wielkim błędem, gdy do zespołów przyzakładowych przyjmuje się młodzież szkolną. Uczeń, który pogodzi naukę z absorbującą pracą w dużym i znanym zespole, musi być naprawdę wybitną indywidualnością. Próby i występy to najmniej kilkanaście godzin w tygodniu. A próby nocne, bo i takie bywają, a obozy kondycyjne, a wyjazdy?

Młodzież szkolna, licealna, to materiał niezwykle cenny, ale i trudny do prowadzenia. Te młodzież należy otoczyć najtroskliwszą opieką w domu, szkole i na zajęciach pozalekcyjnych.

Zajęcia pozalekcyjne. Gdzie one powinny się odbywać, na jakim terenie?

Jeżeli w klubie sportowym, to chyba szkolnym lub międzyszkolnym. Jeżeli w zespole artystycznym, to szkolnym, lub międzyszkolnym. Wszędzie tam, gdzie czuć nad nią będzie opiekun, pedagog, wychowawca, pamiętający, że na pierwszym planie uczeń musi widzieć naukę. Opiekun, który nie będzie szafował czasem ucznia i jego zdrowiem. Jeżeli będzie to zespół artystyczny, pedagog-wychowawca musi być specjalistą w swoim zawodzie, nie gorszym, niż instruktor świetlicy przyfabrycznej.

Zespół taneczny na scenie

Wśród zawodowych artystów pakuje jeszcze lekceważący stosunek do ruchu amatorskiego. Co tam, amator! — i ironiczne skrzywienie ust. Ale amator przez kilka lat wyrósł poważnie i choć nie konkuruje z zawodowcem — bo nie w tym rzecz — wart jest szacunku dla swej pracy społecznej. Bo przecież jest nieopłacany, a jednak, gdzie go poproszą, tam występuje.

Gdzie go poproszą... Zobaczymy jak to wygląda? W piątek wieczorem telefon: „Słuchajcie, jutro występujecie na akademii ku czci...”. Nie pomaga tłumaczenie, że to późno, że nie zdąży się

zawiadomić, że zespół już w tym tygodniu dał cztery występy. „Jak to, w dniu takiego święta, odmawiacie? A gdzie wasza postawa społeczna?” Sterroryzowany kierownik świetlicy ustępuje. Jakimś „cudem” udaje mu się zawiadomić wszystkich. O wyznaczonej godzinie zespół jest za kulisami. W olbrzymich walizkach niosą młodzieży kostiumy. (Obiecali po nich przysłać auto — ale zapomnieli.)

Na widowni dopiero schodzi się publiczność. Zespół za kulisami ubiera się, jedni zasłaniają drugich, nie ma garderoby. Zaczyna się referat. Trwa blisko dwie godziny. Zespół czeka. Jednocześnie zgłaszają się jeszcze dwa zespoły taneczne: młodzieżowy i dziecięcy, orkiestra dęta (45 osób), trio śpiewacze, solista-harmonista, muzyk zawodowy, solistka-śpiewaczka z Polskiego Radia, konferansjer-humorysta i recytator, obaj aktorzy zawodowi. Za kulisami niesamowity tłok, ubrania leżą w stertach, gdzie popadło. Nie ma gdzie usiąść, a nogi boją, więc siada się byle gdzie, na pieczolowicie prasowanych kostiumach. Denerwują się wszyscy czekaniem, a już najwięcej artyści zawodowi, którzy mają jeszcze występy tu i tam (wszystkie płatne).

Kończy się tzw. część oficjalna, zaczyna się koncert. Artysty zawodowi gorączkowo krzątają się po scenie. No, jakże. Im się należy pierwszeństwo. I spieszy im się, spieszy. Tyle czasu stracili!

Kierownik koncertu (ten, który dzwonił) nie ukrywa irytacji. „Po co się tu naszło tyle zespołów? I wszystkim to pcha się na scenę!” Ktoś go pyta, czemu ściągali tyle zespołów. Obsłużyłby nie jeden, a trzy koncerty. Tłumaczy się, że mógłby któryś nawalić, więc na wszelki wypadek...

Zawodowcy dają godzinny program, i spieszenie biegną na inny koncert. Na scenę wchodzi orkiestra dęta, też się jej spieszy. Kierowniczka zespołu dziecięcego nie jest już w stanie utrzymać dzieci za kulisami. Trzy godziny czekania. Wreszcie, gdy dochodzi dziesiąta, a orkiestra dęta nie ma zamiaru zejść, zespół dziecięcy odchodzi, nie wystąpiwszy. Kierowniczka odwozi każde dziecko taksówką; na drugi raz matki w ogóle nie dały, i tak już się „buntują”.

Oto obrazek, jakich wiele... Dysponując zespołem różne instytucje w sposób egoistyczny i nieprzemyślany. Oto okazuje się w ostatniej chwili, że nie ma instrumentu za sceną, że sama scena to raptem trzy metry na dwa. Zespół przyjeżdża i odjeżdża rozgoryczony, nie wystąpiwszy. Zmarnował kilka godzin niepotrzebnie.

Amator-uczeń wraca z występu późno do domu. Siada do lekcji, jutro klasówka z matematyki. Młody technik ze starszego zespołu pochyla się nad „deską”. Jest wprawdzie już 11 i ręka trochę drży, ale trudno, czekają na te plany jutro w biurze. Może wykończy rysunki dopiero nad ranem, mimo to pójdzie na pewno na próbę nowego tańca do zespołu.

Myszę, że gdy kiedyś, Czytelniku, zobaczysz na scenie amatorski zespół taneczny, uśmiechniesz się do niego z uczuciem ciepła i wdzięczności. Przyszedł tu dla Ciebie, chce Ci dać kilka minut radości, a przecież składa się z ludzi mających swoje kłopoty. Często wynikają one z tego, że ludzie ci biorą udział w pracy zespołu.

Tak jak dawniej...

Tak jak dawniej chłop patrzy na wschodzące słońce
Tylko po to, by z blasków odczytać pogodę.
Tak jak dawniej baré stawia zachęcony miodem,
Lotem boćków się wzrusza przy wiosennej orce.

Tak jak dawniej chłop umie popatrzeć surowo,
Jeśli słyszy w rozmowie zbyt płochę dlań słowa,
Bo niekiedy chleb wschodzi i nie na ugorach,
Bo pochlebstwa nie były mądrością ludową.

Może jeszcze go nieraz wiosną trwoży powódź,
Lecz woda chat nie zmywa, więc wargi nie bluźnią.
Tak jak dawniej nie stoi chłop nad trumną domu,
Niby żuraw wpół zgięty nad wyschniętą studnią.

Proszę o głos!

Drobna rzecz, a wstyd

W BROW powszechnemu przekonaniu nie wszyscy artyści mają do dyspozycji luksusowe mieszkania; zdarzają się i tacy, którzy z całym uzasadnionym przyczyn zabiegają o znośniejsze warunki życia i pracy. Jeden z nich — literat — wydał ostatnio książkę; pisał ją w pokoju wilgotnym i zimnym, przy akompaniamencie łoskotu trzepaków, jako że tuż pod oknem jego parterowych „apartamentów” stoi przyrząd, na którym cała kamienica odkurza swoje chodniki, koce, makatki, poduszki, kołdry itp. Autor nasz, człowiek starszy i schorowany, zdobył się, moim zdaniem, na wysiłek godny prawdziwego szacunku, pokonując w pracy nad książką wszystkie te niezmiennie dokuczliwe przeciwności losu. Sądzę też, że zgola zrozumiała jest jego tęsknota do mieszkania, które i ogrzać się da, i nie będzie położone w bezpośrednim sąsiedztwie tak skądinąd użytecznego sprzętu jakim jest trzepak.

Tęsknoty owe, szanowni Czytelnicy, nie były czysto platoniczne — autor nasz od wielu miesięcy zabiegał w odpowiednich instancjach o mieszkanie. Rozumiał dobrze, że nie jest to sprawa prosta, starał się jak najlepiej umotywować swe zabiegi, pragnął — przede wszystkim — zadokumentować, że pracuje i jest człowiekiem potrzebnym społeczeństwu. Skoro więc owa pod trzepakiem napisana książka ujrzała światło dzienne, autor postanowił pośłać ją człowiekowi, od którego — jego zdaniem — zależała w dużym stopniu ostateczna decyzja w sprawie jego mieszkaniowych zabiegów. Jak postanowił, tak i uczynił; książkę powędrowała do owego adresata zaopatrzone w dedykację, w której autor przypominał swoją sprawę. Zaraz potem autor powędrował do szpitala, by ratować zdrowie wcale nie wzmiankane pobyt w owym nieszczęsnym mieszkaniu.

Jakież było zdumienie autora, gdy w parę dni po wyekspediowaniu owej książki dowiedział się, iż adresat polecił mu ją zwrócić wyrażając jednocześnie oburzenie z powodu niesłychanego nietaktu jakim był miata dedykacja wypisana na stronie tytułowej.

„...ofiaryuję tę opowieść o wiosce, w której kiedyś mieszkalem w ładnym, suchym, czystym domku, otoczony przyjaciółmi” — te słowa dedykacji zawierają mając ów niesłychany nietakt. Gwałtu, co się dzieje! — jak mawiał stary Fredro. Proszę was, Czytelnicy, pomóćcie mi zrozumieć, gdzie kryje się, na czym polega kamień domniemanej

Czy tym, że pozwolił sobie przypomnieć o swoich staraniach, do których — na równi z każdym obywatelem — ma prawo i które może uzasadnić? Chyba nie. O cóż więc chodzi?

Czy o to, że w dwóch słowach dedykacji „otoczony przyjaciółmi” można dopatrzeć się aluzji wyrażającej żal człowieka chorego i zmęczonego długim wyścigiem? A cóż w tym — przepraszam — obelżywego? Istnieje w naszym życiu instytucja skarg i zażaleń, a przecież nikt nie wymaga, aby zgłaszający swe bóle i troski obywatel czynił to z promiennym uśmiechem pogody i zadowolenia. Być może byłoby to przyjemne dla ludzi, którzy z tytułu swych obowiązków mają tych skarg wysłuchiwać, ale ich dobre samopoczucie nie jest w tym wypadku najważniejsze. Mamy prawo wymagać od nich, aby wiedzieli o tym, myślę, zresztą, że w naszym wypadku nie tu jest pies pogrzebany.

Gdzie więc? Nie wiem. Wiem tylko, że uczyniono wielką przykrość człowiekowi, który na nią nie zasłużył. Niektórzy z moich znajomych sądzą, że u podstaw tej zgola niezrozumiałej sprawy leży jakiś sztywno-biurokratyczny stosunek do ludzi i ich spraw, jakiś przesadna troska o ochronę własnego autorytetu, jakiś nieumiejętność zrozumienia sytuacji drugiego człowieka i — po prostu — brak poczucia humoru. Przebywający dziś jeszcze w szpitalu autor jest tym wszystkim przeżarty; dopiero teraz zaczyna on, biedak, wierzyć, że nigdy już nie dostanie mieszkania, jako że się „naraził”. Dobrze byłoby wybaczyć go z tego paskudnego nastroju, ale — co tu dużo gadać — może to uczynić tylko jeden człowiek.

Ot i wszystko. Sprawa na pozór drobna a przecież — moim zdaniem — nie bagatelna. Tym bardziej, że z drobnych spraw tworzy się to, co stanowi o nastroju i atmosferze naszego społecznego życia. Dlatego też warto i trzeba pisać o sprawach drobnych.

KRONIKARZ

P. S. Amatorom gromkich rozróbek wyjaśniam, że anonimowość tego felietonu nie jest spowodowana brakiem „odwagi cywilnej” i obawą przed „otwartym stawianiem spraw”. Nawzajem nie podaję celowo. Po to, aby nie utrudniać sytuacji bohaterom tej historii, która może i powinna być doprowadzona do rozsądnego zakończenia.

Ła. Miano by takiego odtąd na oku...

Przez cały czas studiów dbano bardzo starannie o socjalistyczną moralność. W związku z tym wysłuchałam około piętnastu referatów na trzy niesmiertelne tematy. „Moralność jako nadbudowa”, „Religia jako wytwór historii” i „Jak powstało życie na ziemi”. Referaty nikogo nie umoralniały i nikogo nie przekonywały.

Aktyw ZMPowski dawał także osobisty przykład wychowawczy, ponieważ czytał Makarenkę. Przez wszystkie te lata piętnowano bardzo surowo jakiegokolwiek myśli o otrzymaniu innego przydziału pracy, niż do szkoły wiejskiej. Padają piśmienne słowa o ideałach i społeczeństwie, po czym prawie cały aktyw wystarzał się o nie-najgorsze posadki w mieście Łodzi. Były to przykłady ogromnie budujące dla pozostałych studentów. Między innymi doskonale umocniły w niejednym tzw. podwójną moralność...

W dziedzinie naukowej działalności naszej organizacji wspomnienia jakoś mi nie dopisują. Ani rusz nie mogę sobie przypomnieć dyskusji naukowych, próżno w pamięci szukam obrazu pracy kół naukowych. Jest nudno i ospale, rosną nam długie brody, a student sądzi, że Tomasz Mann napisał „książkę biograficzną o wyznaniach jakiegoś króla Feliksa”. Od czterech lat organizowane są wstępne zebrania koła naukowego. Nie są to wcale rzeczy wesołe, ponieważ nasza kultura będzie właśnie taka, jaką stworzy inteligencja wychodząca z murów wyższych uczelni. I nic nie pomaga

(Dokończenie na str. 9)

ALINA GRABOWSKA

Samokrytyka nie zawadzi

W dyskusji o Uniwersytecie używa się zazwyczaj dwóch tonów. Pierwszy — jakże groteskowo beznamiętny program, jacyś niedouczeni profesorowie, jakże mizerne wymagania! Drugi — my, młodzi, niczemu nie jesteśmy winni. Wszystko co jest poza nami — sprzyjsięło się, aby obniżyć nasz umysłowy poziom.

Dotychczasowe głosy w dyskusji, toczony na łamach „Kroniki”. (J. H. Wiśniewski, J. M. Rymliewicz, H. Dzielisz, potrącają tylko te dwie cienkie struny i dlatego wnoszą tak mało treści naprawdę konstruktywnych. Oczywiście, nie myślę tu o sielankowym artykule W. Pietruczuk, jawnie przeinaczającym fakty, powtarzającym banały i stare, wytarte frazyszcze z okresu beztrojskiego optymizmu. Natomiast sądzę, że aby dodać dyskusji rumieńców życia, pokazać, że to nie są tylko marginesowe uwagi niezadowolonych polonistów, ale palący problem, godny jak najszybszych prób rozwiązania — potrzebne jest jedno: samokrytyczna postawa młodzieży.

Niedawno, na seminarium magisterskim IV roku filologii, zapytał nas profesor, co wiemy o toczącej się na łamach prasy dyskusji pomiędzy Chałasińskim, Schaffem i innymi. Otóż, jak nas było na sali kilkanaście osób,

nikt, absolutnie nikt, nie wiedział, że się w ogóle taka dyskusja toczy. Ja także nie.

Źródeł nie zawsze właściwej atmosfery naukowej na Uniwersytecie, nie można szukać jedynie w mankamentach organizacji szkolnictwa wyższego. Zła organizacja może co prawda utrudnić zdobywanie wiedzy, ale nie może nam tego uniemożliwić. Biblioteki są dla nas otwarte. Profesorowie z największą ochotą udzielają konsultacji. Zarobkowo pracuje minimalny procent studentów.

Oczywiście, jeżeli wymagania programu w zakresie literatury powszechnej kończą się na Balzaku, jeżeli dwudziestolecie polskie przerabia się przez dwa tygodnie, to bardzo źle. Ale — gdzie są nasze własne dyskusje o Skamandrze? O Dostojewskim? O Mannie? Dlaczego nawet w ramach tych mizernych wymagań nie potrafimy przeczytać całej lektury i nauczyć się tego, o czym mówią wykłady? Program można zmniejszyć stosunkowo łatwo. Większe kłopoty będą ze studentami. Wydaje mi się, że warto by na przykład podyskutować o tym, co robią na Uniwersytecie nasze organizacje młodzieżowe — ZSP i ZMP, jak wygląda życie umysłowe wśród samych studentów?

Moje osobiste wspomnienia, zwiąża-



J. Płazewski Z cyklu „Uroki Kazimierza”
(Z II Okręgowej Wystawy Zw. Pol. Art. Fotografików w Łodzi)

MARIAN BIELECKI

PRZESTĘPCY MIMO WOLI

MŁODY, zdolny geodeta, ob. S. K. został zwolniony rok temu z pewnej instytucji w Łodzi i po dziś dzień boryka się z trudnościami w staraniach o pracę. Każda instytucja, do której zostaje zaangażowany, rezygnuje z jego pracy natychmiast — po uzyskaniu informacji, że z poprzedniego miejsca pracy S. K. zwolniony został na podstawie art. 32. Nikogo nie interesuje istotna przyczyna ówczesnego zastosowania tego artykułu (na skutek przewlekłej choroby) był w niezgodzie z dyscypliną pracy, ani też to, że człowiek ten ma na utrzymaniu żonę i kilkoro dzieci. Każdy personalnik stara się jak najszybciej pozbyć „niewygodnego” i „obciążonego” pracownika.

Pomijając już oportunizm takiego postępowania, stwierdzić trzeba, że jest ono sprzeczne z zasadą dialektycznej oceny zjawisk. Państwo Ludowe opierało i opiera swoją działalność na przebudowie i wychowaniu człowieka, ocena człowieka dokonana tylko na podstawie ankiety personalnej, wyraża przekonanie, że człowiek nie może się zmieniać.

A ileż przykładów świadczy o tym, że ludzie jeszcze wczoraj obcy i dalecy od tego, co się w Polsce dzieje, w miarę upływu czasu stawali się entuzjastami i budowniczymi nowego ładu? Różne były drogi wiodące ludzi do Polski Ludowej, lecz jest przecież faktem niezaprzeczalnym, że liczba aktywnych budowniczych nowego ustroju jest dziś wielokrotnie większa niż przed pięcioma, na przykład, laty. Proces ten przebiegał na skutek wychowania i rozwoju ludzi, dzięki temu, że znaleźli oni możliwość zastosowania swoich zdolności w stopniu, o jakim dotychczas marzyć nie mogli — możliwość pełnego wyżywania się w pracy. O tym, jak zmienia się człowiek w procesie pracy zapominają, niestety, personalnicy, ankieta personalna prze-

slania im wciąż jeszcze żywego człowieka. A przecież ankieta ta staje się często przyczyną tragicznych sytuacji.

Niedawno spotkałem profesora K. — kierownika katedry jednej z wyższych uczelni w Łodzi. Robił wrażenie 18-letniej panienki przyłapaną w momencie, gdy się całuje z ukochanym chłopcem. Co się stało?

— Wie pan, — mówi do mnie — czuję się strasznie głupio. Jestem właściwie przestępcą, który w każdej chwili czeka na wykrycie przestępstwa i kompromitację.

— Profesorze, pan chyba żartuje.

— Nie, nie żartuję. Posiadam, jeszcze przed wojną nabyty, domek nad morzem, dokąd rokrocznie w lecie wyjeżdżam z żoną i dziećmi. Otóż kiedy w 1945 r. po raz pierwszy wypełniałem ankietę personalną — pan pamięta ówczesną atmosferę — radzili mi przyjaciele, abym się do tego nie przyznawał, bo to mi zaszkodzi w objęciu katedry. I ja, naiwny, posłuchałem ich. Oddałem, w ciągu 10 lat wypełniałem już kilkadziesiąt ankiet i w każdej konsekwentnie brnę w kłamstwo. Bo wciąż nie wiem jak to sprostować. Ileż to razy wzywa mnie kierownik kadr, tyleż to razy dostaję palpitacji serca — a nuż zostanie skompromitowany... Teraz właśnie idę do personalnego. Niech mi pan poradzi, jak wybrnąć z tej nieprzyjemnej sytuacji.

Równie śmieszne jest zachowanie się inżyniera S. pracownika jednego z ministerstw przemysłowych. Jak ognia unika znajomych i przyjaciół z Krakowa. Dlaczego? Zaraz wyjaśnię.

Inż. S., niezwykle uzdolniony konstruktor, w pierwszych latach po wojnie mieszkał i pracował w jednym z wielkich zakładów przemysłowych w Krakowie. Jest obciążony liczną rodziną, a skromne zarobki niezupełnie wystarczały na utrzymanie domu, więc jego dość przedsiębiorcza żona postanowiła wykorzystać umiejętności hafciarstwa zdobyte w czasie okupacji. Krótko mówiąc, otworzyła sklepik, w którym sprzedawała wykonywane przez siebie hafty. Po upływie roku inżynier S. został przeniesiony do Warszawy, dokonał potem kilku wynalazków, otrzymał nagrodę państwową i obecnie jest jednym z filarów Ministerstwa. Żona zaś jest kierowniczką jednego z Cepelli. Oczywiście

ście, o fakcie prowadzenia sklepu hafciarskiego w 1947 r. w Krakowie w żadnej ankiecie personalnej nie wspomnieli. Dziś panicznie unikają znajomych i przyjaciół z Krakowa...

Pracowała wraz ze mną w jednej instytucji młoda, przystojna, inteligentna maszynistka, Krystyna W. Była córką przedwojennego oficera W. P., który zginął w czasie działań wojennych w 1939 r. Obawiając się trudności w uzyskaniu pracy, napisała w ankiecie — w 1945 r. — że jej ojciec był urzędnikiem i konsekwentnie powtarzała to kłamstwo przez wiele lat. Ileż to razy wzywał ją do siebie personalny — a bardzo często ją wzywał — pisała i drętwiała z obawy przed wykryciem kłamstwa.

Kiedy po kilku miesiącach otrzymałem zaproszenie na ślub — zrozumiałem istotną przyczynę częstych wezwań Krystyny W. do personalnego. Podobno przed ołtarzem zdradziła mu swą tajemnicę, lecz on — o dziwo! — nie cofnął się. Jak sobie ów personalny radzi z niezręcznym testem — byłym oficerem W. P. — nie wiem. W każdym razie są szczęśliwym małżeństwem...

Opowiadał mi kiedyś mój przyjaciel, że zwrócił się do niego znajomy robotnik z takim problemem. W pierwszych latach po wojnie pracował w Częstochowie, w prywatnej wytwórni wózków dziecięcych. Potem przeniósł się do Łodzi, gdzie po dziś dzień pracuje w fabryce państwowej. Obawiając się trudności w uzyskaniu pracy, podał personalnemu, że w Częstochowie pracował w fabryce państwowej i odtąd trapi go wewnętrzny niepokój — jak wybrnąć z tego? Mój przyjaciel poradził mu, aby poszedł do personalnego i opowiedział prawdę.

— A jeśli mnie zwolni z pracy? — zapytał robotnik.

* * *

Pozwoliłem sobie przytoczyć pare faktów — każdy z czytelników zna ich zapewne więcej — po to aby wykazać, że podobne sprawy stanowią problem domagający się rozwiązania w naszym życiu. Chodzi nam przecież o stworzenie atmosfery większej szczerości w naszym życiu społecznym i politycznym. Wymaga to oczywiście i podniesienia poziomu pracy kadrowców, zbliżenia ich do ludzi, do życia zakładów, oraz zerwania z dotychczasową praktyką omijania żywego człowieka, a oceniania jedynie na podstawie ankiety.

Nie znaczy to oczywiście, że postuluję zawieszenie broni w walce klasowej, lub przymykanie oczu na istotne przestępstwa. Nie pochwalam również polityki ukrywania prawdy i fałszowego wypełniania ankiet personalnych. Jednakże z dotychczasowym stanem rzeczy powstałym przeważnie na skutek asekuracyjnych tendencji personalników — trzeba się liczyć i trzeba znaleźć wyjście.

MARIAN BIELECKI

WIESŁAW DZIĘCIOŁ

ADWOKAT BEZ RÓŻ

PRZECIEŻ to coś okropnego, żeby adwokat o średniej klienteli nie mógł sobie pozwolić na kupno auta — powiedział z oburzeniem mój przyjaciel. I powtórzył jak katechizm, że jest prawie niedzą, że spowodował ją minister mianujący znacznie więcej adwokatów niż wymagają tego potrzeby terenu, że niektórzy koledzy zarabiają poniżej 1000 złotych miesięcznie itp.

Z przyjemnością oglądałem nowiutkie, kosztowne mebelki zakupione za gotówkę przed miesiącem, podziwiałem walizkową maszynę do pisania, radio-adaptor „Mińsk” i tyle, tyle rzeczy, które po roku praktyki adwokackiej wypełniły pusty kiedyś studencki pokój. Zacząłem do tej „nędzy” tęsknić.

Wtedy już rozumiałem, że każdy kij ma dwa końce. Jeden to adwokat zarabiający oficjalnie tysiąc, drugi to jego kolega osiągający dochód w granicach siedmiu, ośmiu czy dziesięciu tysięcy złotych miesięcznie. Nie pojmowałem tylko, jak można powoływać się na jeden zaledwie koniec, dyskretnie milcząc o drugim.

Zresztą, czy można powoływać się na ten pierwszy? Przyjaciel mój pokazywał kiedyś swoje konto. Figurowały na nim wpłaty po 100 — 150 złotych od sprawy, a przecież znajomi, których ostatnio do niego skierowałem, wpłacali tytułem zaliczki po 500 zł. Nie wypada pytać na ile dostali pokwitowania... Pierwszy koniec kija nie obejmuje także dochodów z radcostw prawnych. Mój przyjaciel jest radcą w trzech zakładach pracy, a inni... Znałem takiego, który mógł się poszczycić imponującą cyfrą 15. W dniu wypłaty nigdy nie mógł odebrać wszystkich swoich poborów, m'mo że jeździł taksówką od jednej instytucji do drugiej. Słyszałem, że są jakieś ograniczenia, ale kto to sprawdza? Przecież taki złośliwiec mógłby się na narażać — prawem odwetu — na ujawnienie własnych wykroczeń.

Franek, trzeci uczestnik naszej rozmowy, stary kolega z obozów akademickich i „Bratniaka”, był rozgoryczony. Nie dostał aplikantury adwokackiej. Nie mógł zrozumieć, że dobre opinie mogą tu nie mieć znaczenia. Daremnie powoływał się na udział w ludowej partyzantce, na niezliczone krzyże, na stanowisko komendanta MO, które zajmował przed rozpoczęciem studiów, wreszcie na wieloletni staż ZMP-owski. Odmówiono — brak miejsc. A wielu aplikuje. Syn adwokata, siostrzeniec adwokata, córka aptekarza, syn bogatego fabrykanta. Cóż, ludzie pewni, ludzie, którzy świętstwa nie robią, nie będą umoralniać, wywoływać rewolucji.

— Rewolucja już się odbyła — wtrącił mecenas. — Mamy zespoły, była weryfikacja, jest reforma, prowadzimy walkę o wyższy poziom moralności adwokatury, a w szczególności tępiny „rekinów”.

Cierpliwość Franka wyczerpała się. — W jakimś przedwojennym czasopi-

mie francuskim — powiedział — widziałem karykaturę adwokata. Wszystkie elementy rysunku i części ciała, toga, były wykonane przy pomocy rozmaitych słów, zastępujących linie. I dziś, niestety, trudno o lepszy symbol. Przyzwyczailiśmy się, że wszystko w Polsce zmienia się i przekształca. O adwokaturze powiedziano również wiele nowych słów. Weryfikacja, reforma, uspołecznienie. Czy było jednak coś poza słowami? Czy to małe, nie kapitalistyczne społeczeństwo odczuło rewolucję przeżywaną przez cały kraj?

Szukajmy konkretnych zmian. I tak, zamiast prywatnych kancelarii mamy zespoły. Zabezpieczyły one swych członków przed domiarami i zwiększonymi opłatami komunalnymi, nadały im rangę spółdzielców i zapewniły około 50% czystego dochodu do prowadzonych spraw, a przede wszystkim uspokoiły władze. Tymczasem praktyka adwokacka jest nadal w zupełności prywatna. W 97 przypadkach na 100, klient zgłaszając się do zespołu, podaje nazwisko określonego adwokata, na którego indywidualne konto wpłaca pieniądze i któremu niejednokrotnie dodaje prywatnie drugie tyle, ale to już inna sprawa. Skutek? Tak zwany „rekin” ma kilkakrotnie większy dochód od „średniaka” nie mówiąc już o „biedniaku”. Rzecz znana, opisana, okrzyczana.

Padło wiele, bardzo wiele słów o rzekomej walce z „rekinami”. Dziwna to jakaś walka, bez efektów, bez przelewu krwi. Nie trzeba być prawnikiem, aby dowiedzieć się kto, gdzie jest rekinem. Wystarczy pojechać do Szczecinka, Giżycka czy na przykład Rzeszowa i zapytać pierwszą lepszą ekspedientkę w sklepie. Z pewnością dorzuci jeszcze, czy i ile adwokat X, lub Y lubi brać poza zespołem oraz kto mu łapie klientów. No cóż, nawet symboliczna Temida ma zawiązane oczy. Łapacze nie chodzą w maskach. Przez omyłkę potrafią zaczepiać nawet sędziów. W Łodzi byłem świadkiem jak kierownik jednego z zespołów wychodził co pół godziny, by odpędzać „łapaczy” spod bramy. Nie dowiemy się kto używa łapaczy tylko ten, kto się tego dowiedzieć nie chce. Słowa te brzmią pesymistycznie. Łatwo jest odpowiedzieć z oburzeniem: przecież prowadzi się całą masę spraw dyscyplinarnych, wymierza się kary. Tak, to prawda, tylko należałoby się zastanowić z czystej inicjatywy, przeciw komu i za co? Czy któryś z powszechnie znanych w naszym mieście „rekinów” przestał być adwokatem, gdyż usunięto go za tego rodzaju operacje? Pytanie to łatwo postawić w każdym mieście i województwie. Słyszymy o karach, ale spotykają one na ogół adwokacką „biedotę”, albo byłych sędziów i prokuratorów, którzy adwokatami zostali niedawno, nie należąc do elity i mogą być wydani na łup sprawiedliwości.

Wydawałoby się — paradoks, a jednak... Radzie Adwokackiej, decydują-

cej o wpisaniu na listę adwokatów, wolno zignorować pisemną opinię zakładów pracy i referencje a uwzględnić tzw. wieść publiczną. Inaczej mówiąc, można nie wpisać lub nie przyjąć do zespołu byłego sędziego, prokuratora, czy radcy skarbu państwa w o-praciu o wszelkie zasłyszane ploteczki, nawet sprzeczne z oficjalnymi opiniami jego zwierzchników.

Jeden z poważnych wiekiem i pozycją zawodową kierowników byłej Prokuratury Generalnej, nazwany żartobliwie przez kolegów „tygrysem” za nieprzejednany stosunek do wniosków adwokackich, mimo jak najlepszej opinii, nie może rozpocząć praktyki, posiadając trzy kolejne pozytywne decyzje Ministra. Powiedziano mu otwarcie — trzeba było postępować inaczej, musi być przykład. Przypadków podobnych można przytoczyć dziesiątki. Latami trwające starania osób, które się „narażyły” pozostają w dziwnej sprzeczności z równoczesnym szybkim przyjmowaniem ich ugodowych kolegów — byłych sędziów czy prokuratorów, posiadających bynajmniej nie lepsze opinie. Niekiedy rozwiązuje kwestię presja ministra, ale ostatnio szereg Rad Adwokackich przestało się liczyć i z tym ostatnim głosem, lekceważąc prawomocne i podlegające natychmiastowemu wykonaniu decyzje.

Naigorsze jest to, że słyszy się coraz częściej o projektach nadania adwokaturze pełnej autonomii, przez pozabawienie ministra jego dotychczasowych uprawnień i usunięcie z komisji dyscyplinarnych przedstawicieli sądownictwa. Czy adwokatura rzeczywiście już dojrzała do takiego rozstrzygnięcia?

Rozmowa nasza nie zakończyła się w sposób szczególnie miły. Mecenas doszedł do wniosku, że obraził mi go i to w jego własnym domu.

Po wyjściu ustaliliśmy zgodnie, że największą zagadką dla nas jest właśnie on sam. On, nasz stary kolega, z którym przeżyliśmy wspólnie ciężki okres studiów, który marzył wtedy o wielkich zagadnieniach, a dziś stał się groszorembom umyślnie przewlekającym sprawy — np. zgłaszał niepotrzebnych świadków, aby jeżdżąc na ich przesłuchanie pobierać diety po 70 zł dziennie — mającym na celu wyłącznie zwiększenie zysków i walkę przy pomocy wszelkich środków o ich utrzymanie.

Franek powiedział, że demoralizują pieniądze, ja — że środowisko. Chyba obaj mieliśmy rację. Bo przecież człowiek nowy, który nawet świadomie nie chce się przystosować, spotka się z bojkotem całego otoczenia. Nie dostanie od kolegów substytucji, delegacji, zastępstw, radcostw itp. Można mu wyrabiać złą opinię, i co najważniejsze nie zarobi pieniędzy, a tego wyrzec się trudno. Oczywiście, nie dzieje się tak z każdym młodym adwokatem, ale czy przypadki te nie zdarzają się nazbyt często?

WIESŁAW DZIĘCIOŁ

DO BYŁYCH STUDENTÓW UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO I SŁUCHACZY KURSÓW PRZYGOTOWAWCZYCH W ŁÓDZI STUDIUM W LATACH 1945-1955.

Uniwersytet Łódzki, pragnąc podsumować rezultaty swej pracy dydaktycznej za okres pierwszego dziesięciolecia istnienia, zwraca się z gorącą prośbą do wszystkich, którzy w latach 1945-1955 choćby tylko przez kilka miesięcy studiowali na Uniwersytecie czy Kursach Przygotowawczych, o przysłanie swego aktualnego dokładnego adresu pocztowego z podaniem imienia, nazwiska (dla mezolet również nazwisko panienskie) i kierunku studiów, na który uczęszczali. Prośba nasza nie dotyczy studentów byłych wydziałów lekarskich Uniwersytetu Łódzkiego.

Wśród tych, którzy nadesłali odpowiedzi (adresy), zostaną rozlosowane książki, wydawnictwa naukowe i inne.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać na adres: Uniwersytet Łódzki, Łódź 1, ul. Uniwersytecka 3, piętro IV.

Z debiutów poetyckich



JAN JUSZCZYK

Trwanie

Po twoich śladach
wypalonych
ścieżkami myśli nieżyjących
chodzi twój wnuk błękitnym okiem
śmiało patrząc
na łot skowronków i bocianów

Ożywia znowu ślad umarły
twoich zmęczonych nóg i oczu
i budzi twoje dawne myśli
śpiewaniem warg

I mówi wszystkim że zbuduje
tysiące domów w nowych miastach
za dziadka który
był spalony.

KRONIKA 16



Helena Kozakowicz

Pokój (rysunek tuszem)

(Z X Dorocznej Wystawy Pol. Art. Plast. w Łodzi)

Przeciw fałszywym prorokom

(Dokończenie ze str. 1)

moralno-obyczajowe stanowi warunek tej godności i gwarancję utrzymania autorytetu przewodnika młodzieży.

Nie tak dawno oświadczył mi mój młody przyjaciel i ZMP-owiec, że socjalistyczne wychowanie to „lipa”. Chłopiec przechodził właśnie zasadnicze i wcale niełatwe przeobrażenia światopoglądowe, wyzwał się z atmosfery przesadów, bigoterii. Nie bez wpływu na jego życiową postawę była przyjaźń z sąsiadem — aktywistą partyjnym i szkoleniowcem. Przyjaźń zerwana gwałtownie. Owego szkoleniowca wykladał chłopcu naukowy pogląd na świat, szepcił w nim laicką postawę. Aż pewnego dnia nasz aktywista podarował matce tego chłopca, której właśnie urodziło się dziecko — złoty krzyżyk. Chłopak spytał, co to znaczy i otrzymał taką odpowiedź: „Krzyżyk rzecz obiektywna, sam przez się nie agituje”. „Ideolog”, występujący gromko przeciw pijanństwu, spłił się na chrzcinach jak bela, awanturował się na ulicy. Wstrząśnięty chłopak oświadczył, że „chromoli takie gadanie, kiedy się co innego robi”. I tak upadł autorytet „aktywisty”, człowieka dwulicowego, załamane, pozostało natomiast gorzkie rozczarowanie i zwątpienie.

Podobny przykład — jeżeli nasz krytyk literacki pisze pochwałę książki, a mówi, że to „zakalec” czy „ponury tasemnic”, — to nasze kryteria, nasze normy stają się dwuznaczne, wątpliwe, a to co mówimy jest już tylko „zasuwaniem drętwej mowy”.

Nie ma większej klęski w wychowaniu nad utratę autorytetu, która się często wywodzi z rozbieżności pomiędzy słowami i czynami wychowawców. Tu właśnie bije jeszcze dosyć dziarsko jedno ze źródeł naszych trudności w walce o młodzież. Albowiem z ojca, wino idzie w syna.

* * *

Ciekawe, co powiedziałaby „demaskator”, wynalazca „narodowych” cech współczesnej młodzieży, takich jak pijanstwo, rozpusta czy bezieadowość — o następującym wydarzeniu:

Grupa młodzieży szkolnej, członków ZMP, tworzy „Koło sensacyjnej przygody”. Zbiera się na podmiejskich łąkach, urządza tam tajemnicze zebrania protokółowane starannie, wynajmuje pokój u stróżkielki do nierządu, dokonuje kradzieży w prywatnych sklepikach. Tak np. pewnej właścicielce sklepu spożywczego i owocarni, — również i domu czynszowego — ginie srebrny lis, przedmiot ogólnej zazdrości, sprzedany — jak się okazało — przez chłopców na „tandecie”. „Demaskator” nie mógłby nam wma- wiać amerykańskiego stylu życia, gdyż chłopcy nie czytali zakazanej literatury, sensacyjnej szmery, nie oglądali wyzudanych filmów, gdyż nie mieli wstępu na zamknięte pokazy. Ponadto J. Putrament zapewnił nas, że chuliganów w USA nie ma. „Demaskator” uczyniłby zapewne to, co zazwyczaj czyni — dopisałby młodzieży jeszcze jedną cechę — złośliwość, przypomniał poprzednie. Być może dodałby w końcu jakieś mobilizujące zdanie pod adresem organów MO.

Tymczasem obraz powierzchowny — to żaden obraz. Starannie prowadzona księga kasowa „Koła sensacyjnej przy-

gody” wykazuje, że wszystkie pieniądze zostały przeznaczone na cele bardzo szlachetne. Można w niej znaleźć pokwitowanie, wystawione przez dwie młode dziewczyny, dziś już robotnice. Chłopcy udzieliłi bezwzględnej zapomogi dziewczętom, które sutenerka chciała wykorzystać. Dziewczęta rozejrzały się w mieście i znalazły uczciwą pracę. Stręczycielkę zdemaskowało koło w MO. Rozpusta więc w grę nie wchodzi. Pozostaje sprawa okradania prywatnej inicjatywy. W sensie „nagiego faktu” mamy tu do czynienia z niewątpliwym złodziejstwem. Ale motywy? Właścicielka srebrnego lisa — o czym chłopcy dowiedzieli się od rodziców — to przed wojną bezlitosny wyzyskiwacz, lichwiarz, utrzymujący stosunki z robotniczym przedmieściem przy pomocy komornika, egzekutora i policjanta. Koło postanowiło zdemaskować go za stare, przedwojenne „rodowe krzywdy”. I chociaż tego rodzaju zemsta musi być ostro sklasyfikowana — to warto zarazem zwrócić uwagę na fakt, że pieniądze wydano nie na sportowego totalizatora, ale — pod firmą zarządu koła ZMP — na odbudowę Warszawy.

Nie udało mi się dotrzeć do wszystkich członków koła. Chłopcy rozjechali się po uzyskaniu matury. Byli przewodniczący w naiwności, ale jednak poruszających do głębi wywodach przekonywał mnie, że koło realizowało... dyktaturę proletariatu. Chłopcy nie mogli po prostu znieść widoku otyłych sklepikarzy, obok ludzi ciężko pracujących i dalekich od zamożności.

Bywa tak niejedną raz, że obiektywnie szkodliwe poczynania młodzieży ujawniają, przynajmniej potencjalnie, zalety charakteru, wiarę w sens naszej walki, chociaż źle rozumianej, swoistą romantykę, dużo dobrego serca. Cóż dopiero mówić o czynach jednoznacznie pozytywnych.

Nie rozumiem właśnie dlatego fałszywych „demaskatorów”, nie rozumiem, czemu chwytają z takim zapalem tylko ujemne przejawy w życiu naszej młodzieży, czemu tak się lubują w sensacyjnych dreszczykach, pobudzają niezdrową, podniecającą atmosferę wokół „dziedzica wszystkiego”. Gdzie się tego rodzaju wychowawcom zapadła wychowawcza moc poty- wających czynów naszej młodzieży?

Nie jest to trąbienie na odwrót, wezwanie do zaprzestania szczerego, odważnego pokazywania czarnych plam. Chodzi tylko o prawdę, która jest bardziej złożona, bardziej wielostronna.

Pogoda czy deszcz, ciepło czy zimno — nie pytali o to nasi łódzcy ZMP-owcy, którzy przed niedawnym czasem zakończyli jedną w swoim rodzaju, bezinteresowną i ofiarną pracę na terenie Rembieszowa i oddali chłopcom wielki obszar zmierzającej ziemi.

Proszę się tylko uważnie przyjrzyć naszej młodzieży w PGR-ach. Obok brudów, chuligaństwa, rozwydrzenia seksualnego — o czym milczeć nie wolno — ileż samozaparcia, heroizmu może tam znaleźć pisarz, jeśli tylko zechce. Jeśli istotnie leży mu na sercu sprawa naszej młodzieży i naszej przyszłości.

Nikt bowiem na samej negacji konstruktynego, twórczego programu wychowania stworzyć nie zdoła.

WIESŁAW JAŻDŹYŃSKI

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

TAJEMNICE MHD

OSTRZEGANO mnie: nie zwracajcie sobie głowy! I tak niczego się nie dowiedziecie, bo ludzie z MHD tworzą zamknięty klan, który przyjmuje tylko „swoich”. Trzeba mieć wyjątkowe szczęście, żeby złapać jakąś istotną i ciekawą informację. Zniechęciło mnie to i zrezygnowałem z poszukiwań.

Traf chciał, że raz pewnego spotkałem na ulicy dawnego kolegę szkolnego. Towarnicki mówił, że mieszka obecnie w P... narzekał na samotność: nie ma z kim podzielić się myślami, podyskutować, starsi w pracy koledzy tworzą swój zamknięty klan... Co to jest z tymi klanami w Polsce? — irytowałem się w duchu. Adwokatom zarzucają klanowość, literatom zarzucają klanowość, MHD-owcom...

— Co porabiacie? Gdzie pracujecie? — Obecnie w planowaniu. Poprzednio byłem kierownikiem sklepu MHD Włókno w Łodzi, zarabiałem nieźle, ale ponieważ nie umiałem trzymać języka za zębami, więc wylali mnie.

Stałem jak wryty na środku ulicy. Kolega chętnie zgodził się ułatwić mi zawarcie znajomości z ludźmi MHD.

— Można by opowiadać godzinami o tym co się tam dzieje — podniecał moją ciekawość prowadząc do sklepu, w którym pracowali jego znajomi.

JAK W DOBREJ RODZINIE...

Średniej wielkości sklep MHD Włókno Nr... jest jednym z siedemdziesięciu siedmiu sklepów włókienniczych MHD w Łodzi. Wystawa — jak w kwaciarni — przyciąga wzrok różnokolorową kombinacją dekoracyjnie rozłożonych tkanin jedwabnych, wełnianych i bawełnianych. Wnętrze sklepu z bogatym asortymentem materiałów tekstylnych na półkach i w gablotach błyszczy i lśni taflami szkła, lakieru i polistyrenu.

Towarnicki zapoznał mnie z kierownikiem, jowialnym, trzydziestoletnim mężczyzną o niedźwiedziowych rękach, w kitlu z czarnej satyny i w rogowych okularach. Obowiązkowo eksperymentki pełniła młoda, przystojna niewiasta z kosztownym zegarkiem na wypięgniętej ręce.

— Bardzo mi się podoba we Włóknie — z pogodą odpowiadała na pytanie. — Praca czysta, nie wyczerpująca, nie trzeba dźwigać skrzyni ani baniek jak w innych sklepach.

— Ile godzin dziennie pani pracuje? — Osem. Od 9 do 13 i od 15 do 19.

— Potem trzeba jeszcze odnieść pieniądze do banku — przypomniał Towarnicki. — W praktyce zajęcia przeciągają się do ósmej lub do dziewiątej wieczorem.

— Praca w sklepie zabiera dużo czasu — chętnie zgodziła się nasza rozmówczyni.

— A pomimo to nie zmieniałaby jej pani na żadną inną — podchwycił z naciskiem Towarnicki.

— Za nic na świecie! — mrużąc ładnie niebieskie oczy, sprzedawczyni odgarnęła kokieteryjnym ruchem ze skroni pasmo popielatych włosów.

Okazuje się, że pani Wanda jako silniejsza fizycznie jest odpowiedzialna za wełnę. Beł wełny bywają czasem przyciężki i żeby je zdjąć z półki, trzeba trochę siły. Druga ekspedientka, szczuplejsza, prowadzi lżejszy dział jedwabni bawełny.

— My tu z pomocą bożą żyjemy jak w rodzinie — przyłączył się do rozmowy kierownik odmierzający różowemu grubaskowi kupon materiału.

— Słyszycie, w MHD Włókno żyje się jak w rodzinie! — przytaknął z nutką ironii Towarnicki. — A w dobrej rodzinie panuje zgoda! — dodaje z naciskiem. — Słyszeliście, co mówiła pani Wanda: za nic nie zmieniałaby zajęcia! W żadnym resorcie nie znajdziecie mniejszej płynności kadr niż w MHD Włókno. Ludzie trzymają się tutaj kurczowo pracy i nie chcą odchodzić.

Tymczasem kierownik żegnał z nieco uniozoną grzecznością klienta: — Proszę o nas nie zapominać! Polecamy się pamięci.

— Przyjdę niedługo — zapowiedział różowy grubasek unosząc pokątny pakiet. — Nigdzie nie mogłem znaleźć tego towaru, a u pana zawsze wszystko jest!

— Staramy się jak możemy! — zgłębiał kierownik w ukłonie, zaś po wyjściu klienta zwrócił się do nas z usprawiedliwieniem: — Klient nasz pan, nasz bóg! Nigdzie grzeczność tak nie popłaca jak w handlu, proszę pana!

— Nasz kierownik umie się obcho- dzić z klientami — pochwaliła pani Wanda zwierzchnika. — Nasz kierownik ma gust i rozeznanie, wie, co trzeba wziąć z hurtowni, co się klientom będzie podobało. Nasz kierownik nigdy nie bierze „bubli”.

— „Bubel”, proszę pana — wyjaśnia kierownik — to jest towar, który nie idzie i długo leży na półkach.

— W handlu trzeba być elastycznym i trzeba mieć trochę odwagi — tłumaczył ze znajomością rzeczy Towarnicki. — Dobry kierownik musi mieć start do wykonania planu: umiejętność do- brania asortymentu i rozeznanie po- trzeb i gustów nabywców.

— Pani Wandeczko! — szepnął kierownik wskazując ruchem głowy na linoleum.

Pani Wanda bez słowa wyszła do po- koiku za sklepem, skąd wróciła ze szczołką obłożoną mokrą szmatą i zaczęła wycierać linoleum. Wykonywała tę czynność bez śladu niechęci, a na- wet powiedziałabym — z zadowoleniem. Jak w rodzinie!

— Widzicie, jak oni wszyscy się tu starają! — szepnął Towarnicki uśmie- chając się znacząco. — Kierownik wychodzi ze skóry, żeby otrzymać z hur- towni atrakcyjny towar i zadowolić klientów, a pani Wandeczka pracuje od rana do nocy, nie ma czasu, biedactwo, ani na kino, ani na teatr, ani na flirt, ani na jakiegokolwiek życie osobi- ste! I to wszystko za pensję, pozał się boże, groszową!

Kierownik zamrugał niespokojnie powiekami, pobiegł jednak za ladą, że- by oznajmić z ubolewaniem klientce,

STANISŁAW BRUCZ

W stronę

mogłoby to w najmniejszej mierze wpłynąć na kształt przedstawienia lub styl gry aktorskiej. Nonsensem byłoby wymagać od teatru, aby przystosowy- wał swój spektakl do widowni, zależnie od jej społecznego składu. Nie o to chodzi. Chodzi o to, że teatr dzisiejszy nie ma i nie poszukuje narzędzi ani metod poznania nowego widza. W stanie obecnym stosunek teatru do wi- downi jest taki sam, jak i w czasach kiedy jedynym odbiorcą sztuki był widz burżuazyjny. Ale tego widza daw- ny teatr znał dobrze, znał jego men- talność, wymagania i gusty, zarówno bowiem dyrekcja, jak i zespół teatru wywodziły się z tej samej klasy spo- łecznej i należały do tak zwanej inteligencji mieszczańskiej. Dzisiaj dy- rekcja i zespoły pod względem pocho- dzenia społecznego, stylu życia i spo- sobu pojmowania sztuki teatralnej zmieniły się bardzo niewiele, widownia natomiast zmieniła się ogromnie, wi- downia to ziemia nieznana, zaludniona przez nowych, nieznanych ludzi. Co robi się po tamtej stronie rampy, aby tych nowych ludzi poznać?

* * *

Był czas (lata 1949—1953), kiedy mo- dny był w teatrze dyskusje z widow- nią, odbywane po spektaklu, i to dość często na życzenie teatru. Dziś- siaj widzimy, że ciążą na tych dysku- sjach znak czasu, obracają się one bo- wiem przeważnie wokół ideowo-spo- łecznej treści sztuki, postępując arty- styczną stroną widowiska. Znamienne, że taki właśnie kierunek nadawał obra- dom prowadzący dyskusję kierownik literacki lub reżyser; w wypadkach, gdy któryś z widzów wazył się wysko- czyć z kwestią dotyczącą gry aktor- skiej, reżyserii czy nawet scenografii, zbywano go grzecznym ogólnikiem, po- czym dyskusja toczyła się dalej torem deliberacji ideologicznych. Jakiegokol- wiek

że poszukiwaną przez nią „korę” bę- dzie miał dopiero jutro.

— Dodajcie do tego szkolenie, odpra- wy, narady, remanenty! — gadał dalej Towarnicki wciąż z tym uśmiechem, którego nie mogłem pojąć. — Weźcie pod uwagę, ile czasu zabiera oblicze- nie kasy po zamknięciu sklepu i od- niesienie pieniędzy do banku i po- wiedźcie — beczelnie zajął pani Wandzie w oczy — czy nie mamy do czynienia z aniołem? Bo pani Wanda nie skarży się nigdy, prawda?

— Nie skarzę się — odpowiedziała z prostotą pani Wanda — bo trzeba wykonać plan, żeby otrzymać premię.

— Zaraz! — gestem ręki powstrzy- małem kolegę. — Musicie państwo nie- źle zarabiać. Powiedźcie — ile?

Kierownik wyszedł z kontuaru i spojrzął z ukosa na Towarnickiego. Zamiast odpowiedzieć na moje pytanie — zawołał: — Są i cienie, panie! Są i cienie! Opowiem panu taki fakt:

O MORALNOŚCI SOCJALISTYCZNEJ W SZTUCE BAWELNY.

— Proszę pana, zaczyna się od nie- właściwego zakwalifikowania towaru przez brakarza!

Ujął mnie za łokieć i wyteżonym szeptem ujawnił wiadomość o której wróble śpiewają na dachach: — Nasz przemysł za wszelką cenę dąży do wy- konania planów. Wszyscy się o to sta- rają: dyrektorzy, pracownicy technicz- ni, robotnicy. Czy pan rozumie, co to znaczy? Taki brakarz, na przykład, proszę pana, jeżeli otrzymuje do oceny tkaninę, która miała być prima, czyli pierwszego gatunku, zaliczy ją do pri- my, chociaż widzi błędy, które ją dys- kwalifikują. Nieladnie, ale cóż, zdarza się! Dlaczego tak robi? Nie wiem, ale domyślam się, że zależy mu na tym, żeby jego Zakładom nie zarzucano, że nie wykonały planu pod względem ja- kościowym. Żal mu też tkaczy, którzy nie otrzymaliby premii, gdyby zaliczy- li ich tkaninę do drugiego gatunku. Wreszcie różnice nie są duże — tu smuga, tam pęczek — kto się na tym pozna? Pal sześć, niech idzie na pri- me!

— Pierwszy akt naruszenia moral- ności socjalistycznej w sztuce bawelny! — sygnalizował Towarnicki.

— Ba, panu to łatwo mówić! — obu- rzyl się kierownik. — Ale wyobraź pan sobie teraz kierownika sklepu, który przychodzi do hurtowni po towar. „Co mi pan wtykasz?” — powiedział do hurtownika, bo mi się ten towar wy- daje lichy. „Może macie coś lepszego?” — mówi. „Nic innego nie mamy” — odpowiada mi hurtownik. „To ma być pierwszy gatunek?” — próbuje się z nim kłócić. A on mi na to z góry: „Bierzysz pan, czy nie, bo szkoda cza- su; inni też chcą kupić!” Oglądam się, i rzeczywiście, ogonek za mną jak przy kasie do kina. No i co ja mam robić, panie? Jeżeli nie wezmę tego to- waru, który mi podsuwają jako prime, to nie będę miał czym handlować, nie wykonam planu, nie otrzymam premii. Aha, właśnie!

— Drugi akt naruszenia moralności socjalistycznej! — z prawdziwym zado- woleniem podkreślił Towarnicki. — Gdyby jeden drugi, dziesiąty kierow- nik odmówił przyjęcia tkaniny, to hur- townik musiałby zwrócić towar do fa- bryki.

— Panie, czy pan sądzi, że hurtow- nik się nie domyśla, że ze szluka coś

zatrzeżenia można by dzisiaj wysunąć wobec owoczesnych dyskusyj, trzeba stwierdzić, że, czy to niemrawe i wy- muszone, czy też ożywione i burzliwe, stanowiły one przecież jakiś teren zbli- żenia, wzajemnego poznania teatru i wi- downi. W ostatnich latach, o ile mi wiadomo, zarzucono je niemal zupełnie. I niczym nie zastąpiono. Rozwiew mię- dzy teatrem i widownią jest wbrew pozorom coraz większy, i on to, mo- im zdaniem, leży u podstaw tego, co niektórzy nazywają kryzysem teatru.

* * *

Kryzys teatru? Raczej rozterka, któ- ra może się okazać plodna i ożywcza i która nie jest tylko własnością tea- tru, nurtuje bowiem wszystkie środo- wiska twórcze. Jeśli podchodzę do tego zjawiska od strony widza, to dlatego, że problem widza wydaje mi się istot- ny, jednym z tych, którym ludzie tea- tru będą musieli śmiało zająć w oczy. Widz współczesny to istota nieznana. Dotąd nie zajmował się nim serio nikt — ani poszczególny teatr, ani konfe- rencja na najwyższym szczeblu, ani krytycy, ani socjologowie. Przy czym — albo zakładano milkiwie, że jest to istota powszechnie znana i nie ma o czym gadać, albo pomiano ją wstyd- liwie, jak hieroglify, którego nikt nie umiał odczytać. Kim jest nowy widz? Jaki jest jego wzór psychiczny? Jakie są jego reakcje, potrzeby i tęsknoty? Jak odczuwa rzeczywistość sceniczną? Co go olśniewa, co go odstrasza, co go zostawia obojętnym? Czego wymaga od sztuki?

Jeśli nie spróbujemy przynajmniej odpowiedzieć na te pytania, nie rozwią- żemy podstawowego zagadnienia współ- czasnego teatru. Bo przecież nowy widz to nowy człowiek, współtwórca i zara- zem wytwór epoki budowania socjaliz- mu. Wydać mi się, że głównym celem wszelakich poszukiwań ideowo-este- tycznych i poczyniń nowatorskich, za-

nie w porządku? — wielkim głosem zawołał kierownik. — Domyśla się, panie, tylko przytyka oczy i mówi: „Sklepy nie wnoszą reklamacji, nie zwracają towaru, więc wszystko w porządku! Niech idzie na primę!”

Towarnicki trącił mnie w bok: — Trzeci akt naruszenia moralności socjalistycznej!

Pan tu wyjeżdża z moralnością! — oburzył się kierownik. — Mnie obchodzi praktyka, panie! W praktyce żona brakarza, albo jego córka, albo obie razem przychodzą do mnie i kupują trzy metry bawełny. W domu rozwijają towar, widzą smugi i pręgi i w krzyk: „To ma być pierwszy gatunek? Za co zapłaciliśmy tyle pieniędzy? Patrzcie, choroba, oszukują ludzi!” Gdybym tam był, to bym powiedział kobietom: „Kobiety kochane, to przecież wasz tatunio, brakarz, wszystkim winien!” Ale nie powiem, bo mnie tam nie ma!

Nie wiem, jakim sposobem znalazła się w rękach Towarnickiego zielona książeczka zatytułowana Regulamin sprzedawcy. Ściągnął ją pewnie z kontuaru i pokazał palcem na zdanie na pierwszej stronie: „Na podstawie pracy sprzedawcy szereg ludzi wyrabia sobie opinie o sprawności handlu, a często nawet poglądy o całości gospodarki narodowej”.

Kierownik błysnął szklami okularów, wytarł chustką spocone czoło i westchnął: — Taki jest ten socjalizm! Trudny.

ANIOL ZA 700 ZŁOTYCH

Westchnąłem z ubolewaniem razem z kierownikiem. — Powiedzieć mi w końcu, ile wynoszą wasze zarobki?

Zapadła chwila żenującej ciszy. Kierownik spojrzął na swoją złotą Omegę na owłosionym przedramieniu i unikając mego wzroku oznajmił frasobliwie: — Właściwie to już pora zamykać. Dochodzi trzynasta.

Pani Wanda jakby się zapadła pod ziemię. Nigdzie nie mogłem jej znaleźć. Na półkach leżały pozbawione opieki kupony lub resztki welenek zielonych, czerwonych, żółtych, bostonu, marenego, „pieprzu z solą”.

Towarnicki przyszedł mi z pomocą. — Wykrztuście nareszcie — namawiał z szelmowskim uśmiechem.

Panie szanowny... — kierownik wznosił błagalnie oczy w górę i nagle rozjaśniła mu się twarz. — To zależy od tego w jakim procencie wykonamy plan! — wykrzyknął jak człowiek, który w ostatniej chwili znalazł sposób na szczęśliwe wybrnięcie z kłopotów.

A bez planu? Pensja zasadnicza? — nie dawałem za wygraną. Machnąwszy ręką, jakby oganiając się od much kierownik rzekł kwaśno: — Ekspedientka: 500 złotych, kierownik 1000 złotych. I zaraz potem dodał prędko, na pocieszenie: — Ale dochodzi premia, dwieście albo trzysta złotych na miesiąc, jeżeli z pomocą bożą wykonamy plan.

700 złotych! Nie mogłem zmieścić w tej sumie ani węgierskiego zegarka na ręce pani Wandy, ani jej szlachetnej gotowości do dziesięciogodzinnej pracy, ani uprzejmości do klientów, ani dbałości o porządek w sklepie, ani deklaracji wierności, że za nic na świecie nie zmieni zajęcia, ani — wreszcie —

najmniejszej płynności kadr w MHD Włókno.

Z nieukrywanym zdumieniem patrzyłem na mego kolega, który właśnie poklepał kierownika po plecach i mówił z fałszywą dobroduszością:

— No, no, wujaszku, opowiedzcie nam co w trawie piszczy.

O TOLERANCJACH I SUPERATACH

Kierownik uśmiechnął się blade. — Proszę bardzo! Przypuśćmy, że sztuka materiału liczy 20 metrów ściśle nawiniętych. Przez odwijanie, a nawet przez samo tylko leżenie na półce każda tkamina kurczy się w ciągu dwóch lat mniej więcej o 50 centymetrów. To zrozumiałe, prawda? Dlatego fabryki dają o 20 do 150 centymetrów na sztukę więcej, na zapas, na przewijanie, leżenie i cięcie. Coś jak rozkurz! To właśnie nazywa się tolerancja.

Towarnicki zataczył ręką łuk wskazując na towar nagromadzony w sklepie. — Do sklepu przychodzi miesięcznie ponad sto sztuk materiału. Przemnożcie 20 centymetrów tolerancji przeciętnie przez 100 sztuk, a otrzymacie pełną tolerancję miesięczną — obliczał chyttrze. — Nie, nie! Nie pan nie mów! — nie pozwolił dojść kierownikowi do głosu. — Dziś żaden towar nie leży na półkach dwa lata, nie leży nawet dwa miesiące. Ludzie w Polsce Ludowej ubierają się coraz lepiej. Dziś każdy towar idzie jak złoto. Wytłumaczcie teraz, wujaszku, co to jest superata?

— Superata — tłumaczył niewinnie kierownik — to właśnie nadwyżka, która ujawnia się po zmierzniu towaru i obliczeniu tolerancji. Personel sklepu obowiązany jest zmierzyć dokładnie każdą sztukę i wykazać superatę w specjalnym protokole.

Towarnicki zmrużył filuternie oko. — No, ale mierzy się przecież w rodzinie! — uzupełnił z humorem. — A w dobrej rodzinie, jak widzieliście, panuje zgoda.

— Zaraz, przepraszam — zaczęło mi się trochę rozjaśniać w głowie. — A co się dzieje w końcu z tą superatą?

Moje nietaktowne pytanie wywołało konsternację. Kierownik rozdziwił usta, zaś Towarnicki zmrużył oczy i patrzył na mnie ironicznie, jak na człowieka któremu, brak piątej klepki. Lecz w tym momencie zmateriałizowała się między nami pani Wanda, która wyrosła jak spod ziemi, żeby ratować sytuację. Odgarniając z czoła popielate włosy uśmiechnęła się czarująco i powiedziała z prostotą: — Ależ, co za pytanie; po remanencie odprowadzamy superatę jak każdy inny wpływ do kasy.

Po tych słowach zapadła krótka chwila ciszy, którą przerwał gwałtowny wybuch śmiechu Towarnickiego. Mój kolega zaczął się śmiać tak straszliwie, że zaniepokoiłem się, czy to czasem nie jakiś chorobliwy napad wesołości. Trzymając się za brzuch trząsł się w drgawkach śmiechu, rżał jak koń i zataczał się od lady do ściany. Zaraził jego wesołością, zaczęliśm się śmiać wszyscy troje. Pani Wanda śmiała się takownie i serdecznie, z ujmującą prostotą aktorów grających na scenie role naiwnych. Kierownik śmiał się jak hipopotam, do łez. W pewnej chwili zdjął nawet okulary i przetarł szklą chusteczką.

Kiedy jednak Towarnicki wykrzyknął: — A to się pani udało! — pani Wanda uważając widocznie, że tego już za wiele, wycofała się za ladę.

— No dobrze — spytał Towarnickiego. — Ale jak oni to robią? Przecież muszą wystawić paragon.

— Człowieku! — zmierzył mnie wzrokiem. — Widzieliście przecie tego różowego grubasa, który wyszedł stąd przed kwadransem? To jeden z wielu, który kupiłby cały sklep bez paragonu, gdyby mu tylko chcieli sprzedać. Inicjatywa prywatna w Polsce jeszcze ma pieniądze, a Łódź jest pełna niebieskich ptaków! Przyjrzyjcie się tylko uważnie tym eleganckim gościom, którzy całe przedpołudnie przesiadują w „Grand Café”, „Egzotycznej” lub „Cyganerii”, a na obiedzie spotykają się w „Mali-nowej” lub barze „Orbisu”. To zakonspirowana łódzka gielda. To oni wykupują ze sklepów najlepsze kupony materiałów, żeby je następnie w myśl zasady „śmierć frajerom” sprzedać z wolnej ręki jako rzekome kupony eksportowe lub z paczek PKO.

Panie! — usiłował przerwać kierownik, lecz Towarnicki dowodził dalej: — Co do superaty, to słyszałem o jednym sklepie, w którym zaoszczędzają sobie na niej parę tysięcy miesięcznie!

O, o, to już grubymi nićmi zeszły! — oburzył się kierownik. — Panie, niech pan nie wierzy temu szatanowi, i niech pan sobie znów nie obraża bóg wie czego! — ostrzegał mnie z przejęciem. — Posadzają nas o lewe dochody, tymczasem superata jest już na wymiarciu — zrobił pogrzebową minę. — Czasem się zdarza, że kierownik płaci gapowe.

— Co to jest „gapowe”?

— To właśnie druga strona medalu! Płacimy „gapowe” za niedopilnowanie metraży. Fabryki kaliskie, na przykład, lub dołnośląskie nie tylko nie dają nam na jedwabiu tolerancji, ale czasem przysyłają sztuki, w których brak paru centymetrów. I jeżeli kierownik nie dopilnuje miary, to później dopłaca z własnej kieszeni. Co do tolerancji, to też nie ma przepisu, który by zmuszał fabryki do naddatków. Jest to raczej zwyczaj. A ponieważ przemysł dąży za wszelką cenę do obniżki kosztów, więc fabryki mierzą coraz skąpiej i tolerancja się kurczy.

Spojrzał na zegarek. — Kwadrans po pierwszej! — pobiegł w kierunku lady. — Pani Wandeczko, zamykamy!

Ruszyliśmy z Towarnickim ku wyjściu. Byliśmy już w drzwiach, gdy kierownik podbiegł i pociągnął mnie za rękaw. — Niech pan jeszcze pozwoi na chwilczkę — odprowadził mnie na środek sklepu. — Niech pan nie wierzy temu szatanowi — szeptał. — Wyrzucili go z MHD... Pan rozumie? Wszystko, co teraz mówi, to — szukał odpowiedniego słowa.

Idąc z Towarnickim w milczeniu ulicą, oddawałem się niewesołym rozmyśleniom. To był chyba jakiś wyjątkowy sklep — prześladowały mnie wątpliwości. Nie chciałem wierzyć, żeby tak mogło być wszędzie.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

pleni, to nic innego, tylko równouprawnienie różnych, częstokroć zużytych, częstokroć przebrzmiałych „izmów” i poetyk, form i manier. Abstrahując od pewnych bezsprzecznych, sporadycznych zresztą, osiągnięć — czegośmy nie widzieli w granicach jednego roku na scenach łódzkich? Widzieliśmy, z gruba rzecz biorąc, konstrukttywizm „Łaźni”, operowo-renesansowy przepych „Mazepy”, kotarowy abstrakcjonizm „Zbójców” i w tej samej sztuce estetyzujący symbolizm lasu, pudelkowy realizm (z sufitem) „Maturzystów”, syntetyczny monumentalizm „Don Juana”, realizm złudzeniowy „Zatrzymać pociąg”, stylizację ludowcową „Świat się kończy”, że wymienię tylko tych parę sztuk. Była to prawdziwa rewia stylów i technik.

Zapewne, reżyser może powiedzieć, że ma prawo czerpać z arsenału form i wybierać tę jedną, którą, jego zdaniem, warunkuje dana sztuka czy dane odczytanie sztuki. I z tego punktu widzenia nawet realizm „strasznych mieszkań” nie zasługuje na banicję, trudno bowiem wystawiać Zapolską w sztafazu monumentalnie sfałdowanych kotar. Racja. Ale zmiana i następstwo form w jednym teatrze powinny się osnuwać wokół osi jednego stylu-idei albo ideo-stylu. Brak tej osi skazuje teatr na bezstylowy i bezideowy empiryzm — od przypadku do przypadku. Otóż w Łodzi pierwszym reżyserem, który już od dwóch lat (od „Opowieści o Turcji”) żarliwie poszukuje owego ideo-stylu jest Kazimierz Dejmek. Jeszcze go nie znalazł, ale już samo poszukiwanie stanowi prawdę Teatru Nowego.

Pominałem w tym przeglądzie, który bynajmniej nie pretenduje do jakiegś bilansowej wszechstronności, szereg ważnych zagadnień. Jak choćby zagadnienie gry aktorskiej, która domaga się wnikliwego i surowego wglądu. Oto domena, w której najuporczywiej i najpodstępniej tkwią jeszcze relikty mieszczańskiego teatru. Pominałem sprawę planowania repertuaru, która również zasługuje na bezlitosną analizę. Powróćmy jeszcze do tych problemów — poruszonych i nie poruszonych. Ale już dzisiaj możemy powiedzieć, że teatr nie rozwiąże ich bez gospodarza, to znaczy — bez współudziału nowego widza.

STANISŁAW BRUZY

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Dorota w Ojcowie

Pamięci ojca

Cień drobnego bucika mknie po szybce Prądnika,
Niebo w barwnej sukience jak lalka.
Głosik, cóż że się trzusi! Echa nie umie zbudzić.
Wiatr wola, odezwie się skalka.

Zył tu olbrzym, leń z lenia, miał spodniki z kamienia,
Nie cerował i, spójrz, dziura wielka.
Tam zamieszkał — pan rzecz — król malutki jak ćwieczek...
Wchodzą dzieci na palcach. Łód, mgielka...

Cóż, że oczy ciekawe, kiedy kucnąć na trawę
Pragną nóżki mej córy Doroty.
Więc przysiadła na chwilę, z nią dwa wierne motyle —
Ten we włosach — i ten żywy — złoty.

Macha żółtym rogalem, nie domyśla się wcale,
Ze tu właśnie lat kopę z okładem
do ena pusty garnuszek bódł kopystką pastuszek —
A ten dawny pastuszek, to dziadek.

1955.



JAN BOLESŁAW OŻÓG

Ogród

Żonie

Ach, różowe kwiaty na kasztanie,
i różowe malwy na parkanie,
i wieczory i sukienka krótka
i tracona ciepła nóżka furtka.

Może znów się noc mi wyśni taka:
gwiezdny blask opadły z rzęs chłopaka,
chłód koralu, dłoń co w dłoń się kładzie,
ptaka jęk śpiewającego w sadzie.

Nie wiem, w śpiew słowicy co się stało:
lata pianą przepłynęły białą,
ale wszystka młodość zakochana
włóczy się w noc ze mną aż do rana.

Przez noc całą brodzę pod leszczyną
za księżycem tu-tam, za dziewczyną,
Ujrę siebie, jak znów — jak bywało —
idę sadem z nią przez ścieżkę białą.

Do reportażu na stronie 12



Jang-Tse-Kiang



Han Kou

Ulica Pekńska

KRONIKA 16

5

widza

równy w teatrze, jak i w każdej innej dziedzinie kultury — jest nowy człowiek pojmowany dwojście: jako podmiot, to znaczy czołowy bohater sztuki (niekoniecznie pozytywny), i jako przedmiot jej oddziaływania, to znaczy odbiorca, którego świadomość kształtować należy poprzez doznania zmysłowe, inteligencję i wyobraźnię. Słowem, chodzi o subiektywne i obiektywne widzenie nowego człowieka: tropienie go w samym sobie, ustawienie w centrum zbiorowej świadomości teatru i z drugiej strony — jasne widzenie tego, co co wieczór zapelnia widownię, tego komu teatr winien służyć. Bez którego nie ma teatru.

Rozterka, która trawi teatr współczesny, może się okazać bezpłodna i próżna jeśli ludzie teatru nie uświadomią sobie, że jej źródłem jest nieznajomość nowego widza. Mówiąc ludzi teatru mam na myśli także i przede wszystkim — dramaturgiarzy. W dramaturgii naszej odpowiednikiem owej nieznajomości (i jej przyczyną pierwszą) jest nieobecność nowego człowieka. Z polskich sztuk współczesnych, jakie można było oglądać w Łodzi na przestrzeni ostatnich dwóch lat, jedną, w której zarysowywały się bardzo jeszcze wątki zaczątki nowego człowieka, byli „Maturzyści”. Ale i w stosunku do utworu Skowrońskiego, jak i do jego realizacji w Teatrze Nowym, można by wytoczyć poważne zastrzeżenia.

Nowy człowiek w sztuce współczesnej może się objawić dwojako: bądź we własnej osobie, we wcieleniu fizycznym, bądź też pod postacią bardziej subtelnej — w strukturach fabularnej, problemowej, stylistycznej, językowej itd. Pod jednym i drugim kątem widzenia wszystkie inne polskie sztuki współczesne, wystawione ostatnio w Łodzi (nie wyłączając „Sprawiedliwych” Brandysa) — leżą, leżą na wielkim cmentarzu pomieszczańskich ramot.



Sierżant Skrzetuski zameldował powrót od fotografa. Wyglądał jak o-
pryszek z amator-
skiego przedsta-
wienia. Cyklistów-
ka i jakiś niedo-
rzeczny szalik.
Tylko spod kožu-
cha wystawały
buty wojskowe i
między rozchylo-
nymi połamami prze-
świtywało sukno
bryczesów. Jego ludzie rozchodzili się
do kwater. Przez niskie okienko bun-
kra widać było ich nogi znikające
wśród świerzków zagajnika. Porucznik
nie przejął się wiadomością o po-
dejrzonym żebraku, który tkwił upar-
cie naprzeciw chałupy fotografa.

— Pytałem się ludzi we wsi, nikt go
nie zna — powiedział Skrzetuski z
ważną miną. Porucznik składał spo-
kójnie parabelum, którego świeża na-
oliwione części lśniły przed nim na
stole.

— Poleciałem Szarakowi, żeby miał
oko na dziada — dodał Skrzetuski. Cze-
kał jeszcze chwilę, a potem zasaluto-
wał do swojej głupiej cyklistówki i
wzruszając ramionami wyszedł.

Sierżant Hieronim przerwał stemplo-
wanie szarych blankietów.

— Czas jemu na melinę, panie po-
ruczniku — zaśpiewał miękko, wołyń-
skim głosem. — Ot, stary partyzant,
gieroj. Teraz byle dziada zobaczy, już
pełne portki. Zrobię ja jemu kennkar-
tę, sam Franck nie pozna.

Porucznik docisnął magazynkę, po-
łożył delikatnie pistolet na sosnowym
stole. Ziewnął szeroko. — Lepiej za dużo
ostrożności, niż za mało. — Przeciaga-
nął się, wstrząsnął. — Zimno tu czegoś.
Od tej wody pod podłogą ciągnie, chole-
lera! — Zerknął w kąt koło wejścia — i
piec czarny.

Hieronim odwrócił się na taborecie,
bystre, niebieskie oczy utkwił w ciem-
nej wnęce dolnej przychy. — W piecu
zgasio — rzekł tonem rozkazu.

Kupa szarych koców poruszyła się
leniwie. — Mnie ciepło — mruknął za-
spany, chłopczy głoś.

Hieronim trzepnął pięścią w kolano.
— Oh, żeby ciebie diabli wzięli! Ciepło
jemu! — Porozumiewawczo kiwnął gło-
wą do porucznika. — Rozpuścił się
gówniarz, jak Boga kocham.

— Te, Hieronim, daj se spokój z gów-
niarzami, radzę ci. Dziś nie opłaca się
ze mną zaczynać.

Hieronim znów kiwnął głową w bok
i uśmiechnął się z ubolewaniem: do
czego to doszło!

— Tobie też na melinę, Zbirek —
powiedział. — Nerwy grają.

— W dupie mam twoją melinę.

— To czoł cie bierz, zimno w lesie.

— W dupie mam twój las! — głos
z przychy stawał się coraz bardziej pi-
skliwy.

Porucznik szurnął nogami pod sto-
łem.

— Kapralu Zbirek...

— Bo mnie denerwuje, panie porucz-
niku.

Hieronim przybrał ton surowy i sta-
nowczy: — Więc jak ma być? Pewnie
ja pójdę po drzewo, albo może pan po-
rucznik. Jesteś najmłodszy czy nie
jesteś?

— Taak, najmłodszy... — rzekł Zbi-
rek z ironią. Wylazł już ze swego bar-
łogu. Niekształtna, żabia figurka, po
żabimiu otyła. Pękaty kadłub i cienkie
nogi. Nalana, blada twarz przekarmio-
nego dziecka, usta zaciete krnąbrnie.

Porucznik spuścił wzrok pod jego
spoirzeniem, rogiem chustki wyduby-
wał coś pilnie spod języzka spustu.

Strzelili tarcicowe drzwi. Trochę so-
snowego łupieżu posypało się z nieko-
rowanych belek powały.

— No, proszę, panie poruczniku —
powiedział Hieronim, kiedy na stop-
niach włączył umilkły niechętny krok.

— Za długo, za długo tego lasu. To tak
ze starymi partyzantami. Najmłodszy
z nas, prawda, a jednak, panie porucz-
niku: najstarszy. Z pierwszej dzie-
siątki. Od samego początku grupy...

Porucznik poruszył się niecierpliwie,
ale nie odezwał się ani słowem.

— Ja go rozumiem — podjął po chwi-
li Hieronim, nie zrażony. — Złocił mnie
on czasem, cholernik. Ot szczeniactwo
takie! Ale rozumiem. Przyjacieli mój
jakby nie było, znam ja jego na wyłot.

— Przybił parę pieczętek, pokręcił gło-
wą. — Trzecia zima w lesie, czternaście
razy ranny, i to wszystko na te osiem-
naście czy dziewiętnaście lat. Inny w
tym wieku jeszcze u mamy.

— Ot wczoraj — przypomniał sobie.
— Braliśmy tę makę w Nadolinku we
młynie. Przygadał tam sobie dziewczynę,
poszedł z nią na strych, na siano.

Nie minęło dziesięć minut, patrzę, zla-
zi mój Zbirek. — Zachichotał krótko,
bez wesołości. — Czerwony taki, lzy w
oczach, głowę odwraca. „Cóż, Zbirek”,
mówię, „nie udało się i teraz”. A on,
panie poruczniku, jak nie skoczy! Ka-
burę odpina, już by mnie strzelał. Mu-
siałem mu łapę wykreślić. To z tego
dzisiaj te grymasy. Widział pan, jak on
patrzy, panie poruczniku? Zabić! Za-
bić chce choćby kolegę. Kto jemu win-
ien, że go tak paskudnie trafiło?

— Hieronim pogładził w zadumie koniec
szpiczastego nosa. — Ale i on nie wi-
nien — rzekł, jakby ze zdziwieniem.

— Ot, trudno jemu pogodzić się z tym.

Inny, starszy dałby se może spokój, a
tego nadzieja kusi. A nuż naprawi się
coś samo... No, bo co taki z życia miał?

Niech pan powie, panie poruczniku.

Nawet tymi swoimi ranami nie po-
chwalił się, bo zawsze ktoś uśmiechnie
się za plecami: „żabi ogier”. Ja mu dla-
tego i pobażam. Jakby mi inny tak
gymaszył, tak się stawiał, to jak słowo
daje...

Znów strzeliły drzwi, kopnięte
gniewnie. Wionęło chłodem, cierpkim
zapachem sośniny i butwiejących liści.
Zbirek zwał z rumorem narecze
szczap pod ścianę, ukląkł ciężko przed
piecykiem.

— Rozdmuchaj — powiedział Hiero-
nim — żaru jeszcze dosyć.

— Nie musisz mnie uczyć — warknął
Zbirek.

Porucznik zapałzył się w okienko,
jakby skrawek zdeptanej darni i kilka
niskich chojczaków stanowiły widok
godny uwagi.

— Ilu jeszcze do fotografii? — zapy-
tał po chwili, nie odrywając oczu od
szyszki.

— Ostatnich pię-
ciu — rzekł Hiero-
nim. — Pójdą z
Głównym.

— Główny na
służbie?

— Tak jest. Do
południa.

Milezeli długo.
Zbirek chrobetał
polanami w żelaz-
nym piecu. Te od-
głosy były pełne
urazy. Coś chlup-
nęło pod podłogą.

Zapisał szczur.
Porucznik west-
chnął. — Niech mi
pan da tytoń, podziękuję.

Hieronim wstał, z półki nad prycza-
mi wygrzebał mały, pękaty woreczek,
rzucił na stół. Pacnęło miękko.

— Zupełnie mokry.

— Niech pan powącha, panie porucz-
niku. Smierdzi jak zaraza.

— Aha. Amoniakiem, czy czymś...

— Ja wiem czym. I szczerze dranie do
tego. Żeby było mocniejsze i większa
waga. Cholerne świnię!

Porucznik rozwiązał z obrzydzeniem
tasiemkę, wysypał na deski zawartość.
Wyglądała jak kupka ciemnego nawo-
zu. Pociągnął nosem. — Cóż? Na bez-
płuczu... — Siegnął po wbiły między
belki bagnet i jego końcem zaczął od-
dzielać porcję.

— Nic nowego nie wymyśliłeś, bra-
cie — fuknął Hieronim. — Każdy, ilu
was jest, to samo: bibułka, bibułka...

Nie mam. Jakbym miał, to byś dostał.
Sam w gazecie kręcę. Radz se jak u-
miesz. Liścia urwij, o!

Jarząbek mruknął coś pod nosem,
zgarnął ze stołu garsteczkę tytoniowej
mierzwy. W drzwiach zderzył się z
Głównym. Plutonowy Główny miał bia-
ło-czerwoną opaskę służbowego na ra-
mieniu, ruszał się sprężysto. Na bacz-
ność przed porucznikiem wyszczerzył
formułę meldunku i wiadomość, że
Szarak przyszedł w ważnej sprawie.

Zabłocone gumki Szaraka przestę-
powały w miejscu za szybą.

— Dajcie go tu — rzekł porucznik.

Szarak położył na taborecie zieloną
czapkę o przepoconym denku, rozpiął
łatany kabat, rękę każdemu uściśnął.

Potem usiadł na pierwszej z brzo-
gę przy wyciągając przed siebie sztyw-
ną nogę; o kolano drugiej oparł łaskę.

Miała rączkę z kozłowego rogu. Gar-
ścica zebrał wilgoć z włosów, chuchnął
w dłonie, zatarł je z chrzęstem.

— Ciepło u was — rzekł. — Dziś ra-
no był przymrozek. Widzi mi się: cie-
pła zima idzie.

Z wewnętrznej kieszeni bluzy wydo-
bił blaszane pudełko z tytoniem, czę-
stował. Na wierzchu leżał zeszytyk
cienkiej bibułki. Kręcił zadowolony,
tylko Zbirek odmówił. Mościł się z po-
wrotem w swoim gnieździe z koców.

— Skąd pan ma taką fajną bibułkę,
panie Szarak?

— Dawali na przydział w nadleśnic-
twie. Jeszcze tam coś mają w maga-
zynie.

— Słowo daję, panie poruczniku,
warto by zrobić ten magazyn — zapalił
się Hieronim.

— Nie, teraz nie róbcie — rzekł Szar-
ak. — Ściągnęli wczoraj batalion żan-
darmierii do miasta. Ja wam wykom-
binuję po cichu se dwa kartony.

— Szykują coś? — zapytał porucznik.

Szarak skrzywił się, rozłożył ręce.

— Na to wygląda. Szpiclują po lesie.

Właśnie o tym miałem mówić.

— No? Gadał pan.

— Skrzetuski meldował panu o tym
żebraku, panie poruczniku?

— Mówił coś. Myślałem, że mu się
wydaje.

Szarak pokręcił głową.

— Podejrzany gość. Od trzech dni tu
się płacze. Wczoraj widziałem go na
przeście koło naszej grobli. Jak gnije
zobaczył, udał, że grzybków szuka. O
tej porze.

— E, może głupi jakiś...

— Oho ho, panie poruczniku! Głupi
— nie głupi, swój rozum ma. Już on
dobrze przeważał. Kiedy wasi idą do
Bentkowskiego fotografować się, ten
już stoi pod kapliczką. Nie spóźni się
o minutę. Zobaczyć pan dzisiaj...

Główny poderwał się z taboretu, ude-
rzył dlonią w stół. — Panie poruczniku,
mam pomysł! Ja go ale wypróbuję, pie-
rona.

Oczy zabłysły mu w zmiętej, szarej
twarzy.

— Ja przeca idę z chłopakami do
Bentkowskiego po obiedzie. Odziemy
te żandarmskie anzug, co je mamy —
będziemy widzieć co zrobi.

Szarak aż wzdął zdrową nogą w po-

dlągę. — Dobrze mówi, jak Boga ko-
cham!

— Ot, co głowa, to i rozum — po-
chwalił Hieronim. — Tak, to jest do-
bre, panie poruczniku. Główny potrafi
szkopa odstawić, aż miło, a tamci inni
mogą się wcale nie odzywać, tylko „ja-
wol” i „befel”, czy jak tam trzeba. Oj,
dobre to, dobre... — roześmiał się. Na-
wet Zbirek zawtórował ze swego kąta.

— Tak, to jest dobre — przyznał po-
rucznik. — Tylko musi pan uprzedzić
wiesz, panie Szarak, o tych żandarmach,
żeby nie było jakiejś draki.

— Rozumie się, może pan być spo-
kójny, panie poruczniku.

— A pan, zamelduje mi się z ludźmi
przed wyjściem, Główny, choć was obej-
rzę.

Szarak dźwignął się ciężko. Wsparty
na łasce wyciągnął rękę do pożegnania.

— A może tamten już odszedł — za-
niepokoił się porucznik. — Jeżeli na-
prawdę szpiclował, możemy mieć kram,

— No, no: jeszcze mu się widziało
nie dosyć i pado, że jeden bandit ma
taki fajny kożuch, a i buty, chole-
wiaki też by mu się zdaly na zimę. Tom
mu powiedział, że z bandytów może se
wziąć co chce. Wtedy się zgodził i wie-
dzie nas. Ale jak! Prościutko ku prze-
siece, ani się nie namyśli. Przykładał
nas w te olszynki nad bagnem i tu
halt. Pado, że dalej nie pójdzie, bo tu-
kiej już niebezpiecznie, bo zarozki za
groblą w krzakach bandyty mają stra-
żników, co ich pilnują i że niżej jest
jeszcze jedno przejście. Zostawiłem
go z Nadzieją, a my reszta na groblę.
Dla pucu czołgali my się i skradali,
póki szło nas zobaczyć z olszynek. A
potem przy placówce ja: „Haende
hoch!”. Na cały pysk, tak co by słyszał
pieron...

— My, panie poruczniku, siedzieliśmy
z Bimbrem po tej stronie w młodnia-
ku i daliśmy się wziąć do niewoli...

— Ale heca! Nie
macie pojęcia. Ze-
byście widzieli,
jak sierżant jeńca
zgrzywał. Jak się
trząsał, jak się o-
glądał! Bimber też
był dobry. A Gło-
śny se użył. Ko-
pnął nawet sier-
żanta w tyłek.

— No co? Co se
miałem żalować.
Aby raz okazała
nakopać mu do
galot.

— Niech cię
cholera weźmie, ja
to sobie jeszcze odbiję.

— A ten wszarz, panie poruczniku. —
Nadzieja z trudem przekrzykiwał śmie-
chy — jak tylko z daleka zobaczył ich
na grobli, zaraz mówi: „kożuch, kożuch,
ten sam” i ręce zaciera, sukinsyn.

— Ot, cholernik! — powtórzyl Hiero-
nim.

— To jeszcze nic. Słuchajcie dalej. Ino
my tych jeńców przykładzili, zarozki se
kazał ten kożuch dać. Musieli my Skrze-
tuskiego trzymać z całej siły, wyrzywał
się pieron, jakby na prowda.

— No pewnie! Przyjemnie to: mój
kożuch na te działołowskie wszy?

— Dali my mu ten kożuch, Skrzetu-
skiemu i Bimbrowi ręce związali pasa-
mi, a ten już się odział i po butach po-
ziera. Uwidział mu się Bimbrowe sa-
perki i wnetki sam biere się do ściaga-
nia. Nic nie gada ino ciągnie. Bimber
zyna postawił, mało my nie pukli od

Przez chwilę doremnie czekał odpo-
wiedzi, potem, żądny rozmowy, zwrócił
się do Zbirkia. — Namysł się, bracie,
ostatnia okazja. Potem zamykam urząd
i przepadło. No, jak, idziesz na meli-
nę, czy nie?

— A odczepię się, do cholery! Przys-
sał się jak pijawka. Mówiłem ci już
raz...

Zaczęli się kłócić nie wiadomo o co.
Każde słowo wznagało zajądłość i roz-
żalenie Zbirkia.

Porucznik wstał, dociągnął pasa. —
Pójdę zobaczyć, co z obiadem.

Przytupywali z podniecenia, nie mo-
gli ustać na miejscu. Nawet twarz Gło-
śnego nabrała kolorów pod ciężkim, zie-
lonym hełmem. Nadzieja wypinał
brzech. Pawi płaszczy z musztardowymi
wypustkami narzucał mu postawę,
Skrzetuski uwalniał się łokciami na stół,
kożuchem zamykał podłogę. Gadali
wszyscy naraz, ale Skrzetuski zagłu-
szał ich swym basem.

— Tak! wszarz, panie poruczniku!
Jak nie byłby mnie obdarł ze skóry. A
ta jego głupia mina, kiedy zobaczył, że
się kiwnął!

Wśród śmiechu Główny jeszcze raz
forsował swoją historię: — Ledwo my
podeśli pod chałupę Bentkowskiego, ten
wylazł zza płotu i prosto do mnie.

— Jak Boga kocham — potwierdził
Nadzieja. — A jak się uśmiechał, su-
kinsyn. Jak do marzeczonej.

— Prosto do mnie, panie poruczniku.
Brzydki taki pieron, obdarty, zaro-
śnięty na pysku... Mruży ślupie i pado:
„Herr Leutnant, banditen”. Pytam się
go po niemiecku, ale on nie rozumie,
tylko furt „banditen”, „banditen” i po-
kazuje na dom Bentkowskiego. Ja do
chłopaków: „vorsicht, deckt euch” i po-
kazuję, żeby się skryli w rowie, a sam
wyciągam spluwę i po polsku do dzia-
da, ale tak, jakbym nie poradził czy-
sto. A on do mnie: „teroz nie, ale oni tu
zarozki przyjdą. Przebrani — mówię —
przychodzą za cywilów. Fotografirują
się u onego. Jak doczkaacie chwilę, to
ich chycicie”. To ja się go pytam, czy
wie, kaj mieszka, a on pado, że wie,
w takich, pado, jamach w lesie, za ba-
nem, ale boi się wieść nas ku nim.

— Ot, cholernik! — Hieronim aż rę-
ce zatarł z podziwu. — A pan myślał,
że głupi, panie poruczniku.

— I jeszcze choiał na nas drań za-
robić — wtrącił Nadzieja.

— Doczkał żesz. Ja mu gadam, że my
się nie boimy, bo nas tu zarozki więcej
przyjdzie i żeby nas prowadził, a on na
to: co będzie z tego miał? Obiecałem
mu, że mu każę wypłacić pięćset złotych
we stuetzpunkcie we Włoszczowej, to
ci się zaczyna targować ze mną, że ma-
ło, że za takie coś należy się najmniej
tysiąc. Jeszcze chciał kwit na rękę.

— Byliby my mu wystawili, ale za-
den nie miał papieru przy sobie.

— Doczkał żesz. Więc ja go ober-
fluchtowałem, panie poruczniku, ale wi-
dzą, że nie pójdzie, no to wyciągam ze-
garek i pado: „to jest twoja premia
ode mnie, jak nam rychtyk dobrze po-
kazesz”.

Aż mu się w oczach zaświeciło.

— Jeszcze się prosił, żeby mu do
ucha przyłożył, czy aby chodzi — uzu-
pełnił Nadzieja.

— I mój kożuch sobie zamówił — do-
dał Skrzetuski.

śmiechu. Tylko Skrzetuski nic po sobie
nie pokazał. A ja, panie poruczniku,
wziąłem karabin od Jarząbka, rozłado-
wałem na boku i daję onemu. Terozki
mosz ich zabić — pado...

W bunkrze zrobiło się nagle cicho.

— Myśli pan, że mi odpowiedział:
„nie”? Kaj tam. — Ino tyle, że nie po-
redzi strzelać. Tom mu pokazał rychtyk
jak się z tym robi, a on wziął luśnię, ale
jeszcze się pyta, czy gacie z zabitych
też budą dla niego. A potem spokojniuc-
ko przykłada do ramienia i mierzy w
Skrzetuskiego.

— Tak, panie poruczniku — Skrze-
tuski wyprostował się, ściągnął gęste
brwi, twarz jego stała się solenna. —
Mierzy do mnie z największym spoko-
jem...

Przez chwilę milczeli wszyscy. Zbirek
wylazł ze swego barłogu, stał jak urze-
czony naprzeciw Skrzetuskiego, oczy mu
błyśzczały. Nikt się nie ruszał, tylko
porucznik, który także podniósł się z ta-
boretu, przesunął rytmicznie ciężar cia-
ła z pięty na palce i z powrotem, tak że
woda chlupotała cicho pod deskami po-
diogi.

— Mierzył do mnie, panie porucz-
niku, żeby mnie zabić. Słowo daję, że
mróz mi przeszedł po plecach, chociaż
wiedziałem, że nie nabije. Ale trzeba
go było widzieć! Takie próchno, taki
lachman, dziadoga nad grobem. Siwy
pysk cały w kudłach i oczki maleńkie,
szare, można by powiedzieć: pocziwe.
I ani mrużnie. Mierzy w samo serce...
Dopiero Główny...

— Ja, panie poruczniku. Nie szło już
tego strzamać dłużej. Wyrwałem mu
ten gwer i trzask go w mordę. Nic nie
rzekł. Siadnął se, nos utarł, poziera po
nas jak głupi.

— A my z Bimbrem już rozwiązani.
Podchodzę do niego, mówię: ty draniu
sakramentki, polskiego żołnierza chci-
ałeś strzelać? Wie pan, co mi odpowie-
dział? Ze lejtnant mu kazał.

— O jasna cholera! — Hieronim w
stół grzmotnął pięścią. Uśmiechnął się
zaciskając zęby — o jasna cholera!

— To nieprawdopodobne — powie-
dział porucznik.

— Niech się pan spyta Głównego, niech
się pan spyta Nadziei. Tak było, jak
Boga kocham!

Nadzieja zarżał nagle hałaśliwym
śmiechem — ale miał minę! Zupełnie
zdurniał. Co się dzieje? Tu szkopy, tu
partyzanty, przed chwilą mieli się zabi-
jać, teraz szlam...



Antoni Łubniewicz

Dziecko w oknie (olej)

(Z X Dorocznej Wystawy Pol. Art. Plast. w Łodzi)



Czesław Sadowski

Martwa natura (olej)

(Z X Dorocznej Wystawy Pol. Art. Plast. w Łodzi)



— Tu dają, tu odbierają — dorzucił Skrzetuski.

— Raz każą strzelać, raz w mordę biją — przekrzykiwali ich Głosny. — Prawdziwy cyrkus! — Znów śmiali się, bijąc dłońmi o kolana, zanosząc się aż do kaszlu.

Hieronim podesunął się do porucznika z tyłu, pociągnął za rękaw: — No to... — pokazał kciukiem w dół. — Jaka?

Na płaskich policzkach oficera leżał rdzawy blask. Twarz wydawała się usztywniona świetlistym werniksem. Wargi poruszyły się w niej, jakby kierowane jakimś mechanizmem wydzielonym z całosci. — Tak — powiedział — Nie ma się co bawić!

Zbirek postąpił naprzód, stanął w ukośnej smudze. — Panie poruczniku, proszę pozwolić mnie. — Wyprężony czekał na odpowiedź.

Maska pochyliła się nieznacznie. Blask objął wydatą czoło, oczy zapadły w cień.

— Czemu? — zapytał porucznik. — Proszę mi pozwolić — powtórzył kapral Zbirek wysokim, natarczywym głosem.

— Niech mu pan pozwoli — rzekł Hieronim.

Porucznik wzruszył ramionami. — Dobrze.

Tamci wychodzili już z bunkra. Zbirek trwał nadal w służbiście postawie.

— Panie poruczniku, nie pożyczę mi pan swojej parabelki?

Oficer, nie odwracając się, sięgnął na stół, posunął pistolet ku skrajowi, ale w ostatniej chwili, uprzędkając ruch Zbirkę, przykrył go dłonią.

— Ma pan swój własny nagan.

* * *

Wszyscy patrzą w schylony grzbiet, okryty pozieleńciami kabatem. Stary pracuje bez pośpiechu, stęka przydeptując łopate, chociaż grunt nie jest tu ciężki. Szpadel odrzuca próchnicę, zbuntowane korzonki, szary, leśny piasek. Jest cicho. Listopadowe słońce nabrało barw w przedwieczornym pochyleniu, zapaliło pnie sosen żywiczną łuną. Tym dotkliwszy wydaje się chłód. Z ust ulatuje przezroczyście mgiełka.

Stary przerywa co chwila, opiera się na stylisku, zdziwionym spojrzeniem wodzi dokoła. Jego oczki, ledwie widoczne spod nawisłych, siwych brwi, nie wydają się zaleknione. Tli w nich raczej odbłask życzliwego uśmiechu. Można by przypuszczać: dziadkowi pochlebia, że jest ośrodkiem tego milczącego zainteresowania: Nikt już na niego nie krzyczy, nikt niczego nie ofiarowuje ani nie odbiera. Stoją w zgodnej gromadzie zieloni żandarmi i „bandyci” w rozmaitych przyodziewkach, w miękkich rogatywkach, kurtkach, kożuszkach, płaszczach wojskowych, z bronią i bez broni. Pogapi się na nich trochę, zerknie ku grobli, skąd nadchodzą jeszcze nowi, skacząc niezgrabnie z belki na belkę, potem machnie parę razy łopatą i znów odpoczywa.

Miejsce tu jest ustronne. Pas bagiennych łąk zatacza szeroką pętlę. Środkiem wije się kręto błyszcząca żyła wody. Opasany nią półwysep jeży się ciemną szczecinią świerkowej zagajnika, z którego wyrasta wazitka, sina smułka — dym obozowej kuchni. Z tej strony teren wznosi się nieznacznie ponad kotłinę mokradła. Na brzegu kępa olch o nietkniętej jeszcze zieleni, później anemiczne brzołki, syjące złotym liściem, grabina i dębowa miodź, a wyżej wielkie sosny, stojące z rzadka, lecz zagęszczające się dalej w tło lasu, gdzie już zbiera się mrok. Górą niebo jest przezroczyście, lekkie i chłodne od rozrzedzonego blasku. Pogodna cisza tego wieczoru działa kojąco. Dziadek nie spieszy się. Wykopał dołek, sięgający mu najwyżej do pól tydki, a teraz trafił na jakiś grubszy korzeń i bezradnie opakuje go łopatą.

— W ten sposób będziemy się bawić do nocy — mówi sierżant Skrzetuski. — Chłopcy, pomóżcie mu który.

Stary niechętnie oddaje szpadel Wąsowi. Mruczy i ociaga się, ale wkrótce daje za wygraną i odszedłszy parę kroków siada na ziemi. Powolnymi ruchami szpera po kieszeniach, szuka czegoś, wygrzebuje jakieś paprochy i śmieci, rozspjuje dokoła sztywnymi palcami. Zbirek zbliżył się do niego, stanął z boku pod drzewem, obserwuje bacznie; ale dziadek nie zwraca na niego uwagi. Zaniechawszy swych poszukiwań zsunął kapelusz na czoło, bo światło zachodu razi go w oczy, i spod wymiętego filcu przygląda się pracy Wąsa.

Strzelec Wąs jest krepym parobkiem o krótkim karku i ciężkiej, kulistej głowie. Na robocie się zna. Wystarczyli dwa szybkie uderzenia i korzeń odskakuje jak żywy. Teraz kopanie idzie już łatwo. Wąs zdjął płaszcz, śmiga rydłem z regularnością maszyny. Aż świszcze odrzucany piasek, a stał błyska krwawym odbiciem zorzy. Wokół podnosi się szmer uznania. Twarz Wąsa nabiega krwią, zaczyna lśnić, strzelec jednak nie zwalnia tempa. Dół kryje go już powyżej kolan. Lecz teraz ostrze łopaty wchodzi w grunt z nowym odgłosem: szoruje miękko, cmoka przy podrywaniu. Piasek przestał się sypać — spada na ziemię mokrymi poduchami. Wąs prostuje plecy: — Woda — mówi.

Nagle dziadek podnosi się, cziapie nad brzeg dołu i zagląda ciekawie do wnętrza. Jest wyraźnie niezadowolony. Kręci głową, czochra w zadumie po żółte kudy. Potem odwraca się nie spodziewanie, rusza przed siebie jakby po prestu odchodził.

— Stój! — piszczy Zbirek, sięgając pośpiesznie do pasa. Luzy karabinów podnoszą się czujnie, jeden z „żandar-mów” zabiega już łukiem od tyłu. Stary przystaje, ogląda się, uspokajająco kiwa ręką. — Mokra — mówi swoim chrypiącym, rozbitym głosem.

— To co, że mokro? — woła gniewnie Skrzetuski. — Dla was to już bez znaczenia. Chodźcie no, tu!

— Zara — chrypi dziadek, wcale nie przestraszony krzykiem. Schylił się, zgarnia coś powoli. — Jak mokro, to niedobrze — mamrocze zrzędnie. — Sucho ma być.

Nikt nie rozumie sensu jego czynności. Obstąpili go, patrzą w osupiałym milczeniu. A on grabi pazurami, stęka, szeleści wśród poszycia. Wreszcie podnosi się z pełnym nareczem zwiędłych liści i drobnego chrustu, wraca nad dół, sypie ten ładunek do środka. Nie przeszkadza mu. Obraca jeszcze dwa, trzy razy, potem sam wchodzi do jamy, znika w niej. Pochylając się, słoczeni ciasno wokół. Stary leży na dnie, mości się na kwaśno pachnącej podściółce, ręce podkłada pod głowę. Wygląda jak kukła z brudnych szmat.

Ktoś zachłystuje się pierwszy i raptem wszyscy wybuchają śmiechem. Kukła nieruchomieje, patrzy niedowierzająco w górę ku tym hałaśliwym twarzom. Po chwili wokół małych oczu zbierają się zmarszczki, w niechlujnym arście rozwiera się szrama ust, wargi odsłaniają kilka zielonkawych pieńków. Jakby bezbronny wobec wesołości tych ludzi, dziadek uśmiecha się także. Tylko sierżant Hieronim nie daje się w to wciągnąć.

— Dość! — mówi cierpkim, rozkazującym tonem. — Wyłaćcie no z tej dziury. Dość blaznowania.

Żołnierze milkną zawstyżeni, odstepują, a stary gramoli się na brzeg dołu. Trochę liści i patyków przylgnęło do nędznego przyodziewku, a nawet zaplało się w zmierzwiony gąszcz brody. Kapelusz, przetrząsany i wytarty na czubku od proszalonego trzymania, zjechał na bok, co dodaje postaci jakiejś groteskowo-ponturej fantazji.

— Czy wiecie dlaczego tak ma z wami być? — pyta Hieronim tym samym cierpkim głosem.

W twarży żebraka po raz pierwszy pojawia się niepokój. Szybkim, umykającym spojrzeniem strzela to tu, to tam, jakby szukał drogi ratunku. Milczy.

— Prowadziliście Niemców do naszego obozu?

Tamten z nieoczekiwaną skwapliwością przytakuje skinieniem głowy.

— Chcieliście zastrzelić tego sierżanta?

Teraz stary namyśla się chwilę. Patrzy najpierw na Skrzetuskiego, którego pokazuje mu Hieronim, potem jego oczy zatrzymują się na Głosnym i pojawia się w nich jakgdyby błysk ulgi.

— Pan lejtnant kazał — mówi.

— I byłobyście go zabili?

— Nie dał mi.

Hieronim ogląda się bezradnie na towarzyszy. — No, tak — mruczy — to wystarczy...

Z tumanu wysuwa się Zbirek. Ręce schowane ma za plecami, kołysze się lekko na rozstawionych nogach; wygląda bardziej żabio niż zazwyczaj.

— Słuchajcie no, dziadku — mówi — macie wy może córkę?

Stary mruga zdziwiony. — Mam — przyznaje.

— Fajna dziewczucha?

— Ee, dość ta... — mruczy niechętnie.

— Puściłobyście mnie ku niej?

Hieronim szarpie gwałtownie Zbirkę za ramię. — Nie wygłupiaj się!

— Bo co? Nie można sobie pożartować?

— Nie — mówi Hieronim twardo.

Zbirek ma ochotę się kłócić, ale spoj-

rzawszy w oczy Hieronima, przełyka ślinę i rezygnuje.

— Przeżegnajcie się — rozkazuje Hieronim żebrakowi. Ale nim brudna, drżąca dłoń dosięga czoła, Skrzetuski przerywa swym głębokim basem.

— Chwileczkę. Może macie jeszcze jakieś życzenie?

Stary kończy powoli niezdarny znak krzyża, coś tam mamrocze sam do siebie; nie odpowiada, nie rozumie.

— Może byćście co chcieli? — powtarza Skrzetuski głośniej.

Tamten gapi się na niego w milczeniu, potem zaczyna jeszcze raz gmerać po kieszeniach.

— Kurzyć chce — mówi ktoś domyślnie.

Dziad kiwa głową. — No!

Kilku naraz już jest przy nim. Podają mu: ten mieszek, tamten pudełko. Stary bierze od Wąsa dużą szczyptę ciemnego, wilgotnego tytoniu, bezradnie trzyma ją w otwartej garści. Drugą ręką dalej myszkuje po kieszeniach.

— Macie który bibułkę? — pyta Skrzetuski.

Teraz wszyscy przeszukują kieszenie, ale nikt bibułki nie ma. Dopiero Hieronim wpada na pomysł: wyjmując z portmonetki wymiętą złotówkę i podaje dziadkowi. Ten bierze, odruchowo zgina w podłużne korytko, uklepuje w nim tytoń, starannie zwija kciukami grubego wałeka. Ale robi to coraz wolniej, z wstępującym namysłem, a kiedy od staje już tylko brzeżek do przyłaniania, zatrzymuje się całkiem i duma, wpatrzyony w niedokończony papierosa.

— No, dziadku — mówi łagodnie Skrzetuski. — Ciemno się robi.

Tamten nie słyszy. Naprzeciw tych wszystkich, wpatrzonych weń ludzi jest zupełnie sam w swej zadumanej niepewności.

Z westchnieniem rozkręca papierosa, wysypiany tytoń mocno zaciska w lewej pięści, złotówkę składa na pół i chowa ją pieczołowicie. Ma tam jakąś skrytkę pod podszeawką kubraka, do której trudno mu trafić. Grzebie się długo w zakamarkach swego odzienia, pochyliwszy głowę i zgarbiwszy grzbiet.

Hieronim lekko dotyka Zbirkowego łokcia, a kapral Zbirek zwolnionym, płynnym ruchem wyciąga prawą rękę zza pleców.

X

— Jak to się długo pieprzą — zrzędził Biskaj — Będę musiał kolację po ciemku wydawać. Co to tyle barłoży? Trzask-prask i załatwione!

Stali na małym pagórku, stanowiącym dach magazynu, wśród świerzków, które sięgały im piersi. Było stąd widać korony wielkich sosen po tamtej stronie bagna, oblane jeszcze na szczytach ostatnim, wietrzącym od-blaskiem zorzy. Od dołu podchodziła rozcińczona, szarawa mgła. Ciągnęło od niej wodnistym chłodem.

— To z tych nudów, panie poruczniku — rozważał Biskaj. — Z byle czego robią sobie zabawę. Ja się nawet nie dziwię. Nudno tu, jak jasne kule. No nie? Takie życie...

Za groblą stuknął pusto strzał, i jeszcze drugi.

Spojrzeni na siebie. Biskaj zataił zgrabiałe ręce. — No, idę podhajcować, żeby mi wiara nie pyskowała, jak kiedyś. — Zbiegi między krzakami, czarnymi krokami podkreślił wąską wstążeczkę żółtego blasku przed oknem bunkra pierwszej drużyny, znikł wśród kępy drzew otaczających kuchnię.

Porucznik został sam. Wtulił głowę w podniesiony kołnierz skórzanej kurtki. Cekał. Od grobli słychać już było głosy, trzask deptanego suszu i szelest rozsuwanych gałęzi. Na stygającym niebie pojawiały się pierwsze, blade gwiazdy. Głosy zbliżały się szybko. Można było je rozróżnić, który do kogo należy, chociaż nie rozumiało się słów. Milczący obóz też ożył. Ci, co pozostali wychodzili teraz ze swych podziemnych schronów i niewyraźnymi cieniami snuli się wśród zarośli.

Nagle, tuż blisko, na ścieżce odezwał się Hieronim.

— Z ciebie jednak jest kupa drania, Zbirek!

Było w tym stwierdzeniu więcej podziwu niż nagany, toteż Zbirek odpowiedział tonem chępliwym: — Dziś bracie miałem smak na coś takiego. Czuję, że urwę się, jak kogo nie kropnę. Przyjdzie czasem taka chwila... — dreszczek chłodu ukłuł ostatnie słowa, pchnął w pieszczące tremolo.

— Ale złociaka zaoszczędził — powiedział ktoś i zaśmiał się.

Porucznik zszedł ku nim. Wychodzili z zagajnika całą gromadą. Ci z bunkrów zastępowali im drogę. Pod magazynem zgęstniał tłum, burczał zduszony gwar. Opowiadali: o legowisku z liści, o Zbirkę, o tym ostatnim papierosie.

— Przynieśliście jego papiery? — zapytał porucznik.

— Tak jest — odparł Hieronim — zabrałem mu kenkartę.

— To dobrze. Trzeba będzie zrobić protokół dla okręgu.

Z zagajnika wynurzył się jeszcze jeden cień: Wąs z łopatą na ramieniu.

— Załatwione — rzekł.

— Panie sierżancie Skrzetuski, proszę zarządzić przygotowanie do kolacji.

Porucznik skierował się do swego bunkra. Hieronim wyprzedził go, zapalał lampę naftową. Na stole leżała szara kenkarta o pozacieranym druku, o rogach zaokrąglonych i miękkich, jak bibuła. Tak była wytuszczona, że okładki zlepiły się ze sobą, trzeba było rozdzielać paznokciem. Porucznik długą chwilę przyglądał się fotografi.

Szeroka twarz, mięsiste nozdrza, male oczka zapadnięte głęboko i niezrozu-

ANNA POGONOWSKA

Kamienie

Kamienie rozpierzone, rozjuszone glazy,
Grozy ucieleśnione, bestie wyobraźni
Zahaczone o chmury, które błyszczą światłem —
Drapieżniki, chimery stu pagód, stu katedr.

Oko słońca, wir światła, plama cytrynowa
Raz po raz w paszcze smoków soczystość swą chowa —
Głodne, niesyte szczęki, spazmatyczne sploty
Kamienia który węzeł drży o złoty dotyk.

JERZY WALEŃCZYK

Październik

Oto jest czas, bym poszedł
Gęstniejącą ciszą pastwisk opuszczonych
I strzępił ślepa dłonią mgłę.

Oto jest czas, bym żegnał młodość.

Rosa odbłyśkuje z krzewu, milczące glinianki,
Niespokojne morza papierowych flotylli,
Lata nieodkupione.

Znów żyję tym, co znajduję na tych polach,
Lecz krzyku wesołego nie ma wśród przestrzeni,
Nie ma dymów pastuszych z latawcem na szczycie;
Takiego latawca zrobił mi ojciec,
Kiedy zapomniał o mnie.
Jesień.

Jesień aż do kości.

Więc muszę iść nieistniejącą miedzą
Do wiosen utraconych,
Ponieważ nie wiem czy powrócę
Tu, gdzie na faldach przestrzeni śpi rozkolysana wrona
I jest inny ptak skaczący w dół,
Którego tylko słyszeć mogłem.

A został tylko sen trzydziestoletniego,
Ogromny szepot pożądania
W godzinie zmierzchu.

Więc stanąć wśród mokrych pól i wspominać nie zechce nikt.
Wolać, wolać do drabiniastych chmur,
Rękę wyciągać tam, gdzie były kłosa
I nie mieć czego dotknąć, zerwać.

Oto łąka podmiejska pod kolejowym nasypem.
Oto wspomnienia, co umiały grude.

Zapomniałem, że muszę się żegnać
Owinięty w mgłę, żal października,
Ponieważ więcej nie powrócę.

Ja, człowiek, o którym mówią dojrzały, stateczny,
Tępa głowa wśród podmiejskich pól;
Buty mokre, ręce zziębnięte.

Ciemnieje mi w oczach, milczeć nie mogę.

Oto jest czas, bym szedł żegnając.
Któż chciałby wrócić nie znalazłszy nic.
Oto jest czas, bym szedł żegnając

W opuszczonych pastwisk gęstniejącą mgłę.

miały blask świata. Mogło się wydawać, że cała ta głowa zarośnięta kiedyś była długą sierścią, która wytarta się tylko ze starości na miejscach wypukłych, na ciemieniu, czole i policzkach, błyszczących teraz wśród szarych kłaków.

„Alojzy Szylnik — przeczytał porucznik głośno. — Bez zawodu. Urodzony w Gidlach, 1878 rok”. Nawet nie taki stary — rzekł. — Sześćdziesiąt sześć lat... a wygląda...

— Ot, dziadowski już taki wygląd — wyjaśnił Hieronim. — Dziad, panie poruczniku, wszasz typowy.

Porucznik usiadł, przyglądając się nadal kennkarcie, pochylonej w dwóch palcach ku światłu. Jego spojrzenie miało szczególnie baczny wyraz, jakby tych kilka suchych informacji o człowieku kryło w sobie, bóg wie, jaką fascynującą historię.

— Różnych ja już widziałem — podjął sierżant — ale takiego paskudnego jak ten, to jeszcze nigdy. Taki drań, panie poruczniku, taki szmaciarz! Ot, żeby mnie kto opowiedział, nie uwierzyłbym ja jemu. — Pokiwał głową. — Nad grobem już, psia krew, śmierć mu na karku siedzi, a temu parszywej złotówki żal zrobiło się. Człowiek, cholera! Człowiek...

Porucznik drgnął, niecierpliwym ruchem odwrócił się, czas jakiś patrzył na Hieronima ze zmarszczoną brwią, nieprzychylnie.

— Tak — powiedział z surowym naciśnięciem, odnoszącym się nie wiadomo do czego. Wstał, z rękami w kieszeniach zaczął spacerować tam i z powrotem po uginających się deskach. Woda pod podłogą pochłupywała rytmicznie do wtóru jego krokom.

— Niech pan otworzy maszynę — rzekł wreszcie — może zdążymy jeszcze przed kolacją napisać raport o tym biedaku... o tym wszaz...

Przystanął i podczas gdy Hieronim

zdejmował wieko z maszyny, dumiał nad czymś z pochyłą głową.

— Złe się stało — rzekł nagle. — Złe się stało z tym Zbirkim. Nie powinienem mu być pozwolić.

Palce Hieronima spoczywały już wy-czekującą na klawiaturze. Uśmiechnął się. — Nic nie szkodzi, panie poruczniku. Byłby nam życie zatrał na tydzień. Ja go znam.

— Niech pan pisze! M. p. Kompanii „Akcja”, dnia 18 listopada 1944 r. Na ręce dowódcy batalionu „Las”, do wiadomości Komendanta Okręgu.

W dniu dzisiejszym rozstrzelany został żebrak Alojzy Szylnik, urodzony w Gidlach w roku 1878, jako niebezpieczny konfident żandarmerii. Dowody winy:

Maszyna pluskała szybko i metalicznie, zatrzeszczał przesuwany wałek. „Dowody winy...” powtórzył Hieronim. — Tak. Dowody winy...

Na stopniach włazu rozległo się wesołe gwizdanie. Wśród Zbirek. — No, dawać miski, panowie. Przyniosę wam kolację, znajcie moje dobre serce.

Hieronim mrugnął na porucznika. A potem, zwracając się do kaprala: — No co, już humor jest? Ulżyło?

Zbirek roześmiał się. — Jakbyś zgadi! — Siegnął na półkę po fajansowe miski.

— Kapralu Zbirek — porucznik dotknął końcami palców jego ramienia — jutro pójdzie się pan sfotografować. Mamy jeszcze jeden blankiet wolny. Przyda się panu melina...

Chłopak zamrugał zdziwiony. — E, panie poruczniku, mam czas...

— Tak pan myśli? — Porucznik odstał o krok, z roztargnieniem spojrzał w czarną taflę szyby. — Pójdzie pan na melinę — powtórzył bezbarwnie.

JAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI

KRONIKA 16

O młodzieży aktorskiej

W 6 numerze „Kroniki” (z dnia 31 lipca) ukazał się felieton pt. „Teatr czy ołuchy”, w którym Kronikarz wezwał do dyskusji nad zagadnieniem młodzieży teatralnej. Sprawa warta jest rozważań i dlatego proszę o głos.

Kronikarz zasygnalizował łatwo dostrzegalne objawy — brak dyscyplinowania, brak postawy ideowej, powierzchowność i pozerstwo cechujące duży odłam młodzieży. Postaram się zanalizować choć część przyczyn tego stanu rzeczy. W zasadzie dwie instytucje mają wpływ na kształtowanie młodych aktorów: szkoła aktorska i teatr. Przy czym nie należy zapominać, że trzy istniejące wyższe uczelnie teatralne nie są w stanie zaspokoić zapotrzebowania na kadry, które ciągle rośnie wskutek powstawania nowych teatrów. Znaczną więc część młodych aktorów przygotowuje się do zawodu poprzez praktykę w teatrze i zdobywa prawa zawodowe zdając eksternistyczny egzamin kwalifikacyjny. A więc dla tej części młodego pokolenia aktorskiego jedyną instytucją wychowującą jest teatr, a na pewno nie każdy jest do tych zadań przygotowany.

Ale czy szkoła, choćby najlepsza, i teatr, choćby najpoważniej traktujący swoje zadania wychowawcze, mają możliwość ogarnąć całokształt wychowania? Jasnym jest, że mogą tylko częściowo wpływać na kształtowanie się psychiki młodego człowieka, którego wcześniej kształtował dom, szkoła średnia i wreszcie, co najważniejsze, otaczające go życie. A wiemy dobrze, że te różnorodne wpływy nie są bynajmniej jednokierunkowe. Wpływy domowe, w znacznej większości przypadków, nie uczą szacunku dla sztuki i zawodów artystycznych. Przeciwnie, praca artysty, a specjalnie aktora, jest traktowana nie tylko przez rodziców, ale i przez nauczycieli szkół średnich, jako zajęcie, pozwalające się „wymigać” od rzetelnej „ucziwej” pracy. I nawet ta młodzież, która wbrew woli swego otoczenia poszła za głosem swoich zamiarów, nie może zrozumieć, że dla artysty — sztuka jest sprawą najważniejszą, której całe jego życie musi być podporządkowane. Dawne wpływy zostawiają swój oślad i gdzieś w zakamarkach myślowych ukrywa się przekonanie, że jednak zdobyty dyplom aktorski jest łatwiej, niż na przykład dyplom inżyniera — mechanika, na którego drodze leży się groźne tyle skomplikowanych wzorów matematycznych. I w momencie, gdy szkoła czy teatr zaczyna wymagać nieodwołalnej dyscypliny i trudnego, fizycznie niemal bolesnego wysiłku — następuje moment rozczarowania i buntu. Wyobrażenia o zawodzie są sprzeczne z rzeczywistością. Młody człowiek wyobrażał sobie naukę aktorstwa lekką, atrakcyjną, rozrywkowo niemal, a tymczasem wymaga się od niego wielkiego rygoru i uciążliwych, żmudnych wysiłków. A ponieważ uświadzić w niezbędność takiej pracy i świadomie przyjąć dyscyplinę jest trudno, szuka drogi łatwiejszej — uczy się bez zapału i z godną podziwu pomysłowością stara się omijać wszelkie rygory. Do tego zresztą przygotował się w szkole średniej, gdzie niejednokrotnie „kombinował” usprawiedliwienia z opuszczonych godzin, a wypracowania, w najlepszym wypadku, kopiował z artykułów w pismach.

Kronikarz poruszył sprawę poważnych braków w opanowaniu podstaw rzemiosła aktorskiego, w ogólnych wiadomościach z dziedziny literatury i sztuki, wytknął braki w poezii etyki zawodowej i postawie ideowej młodych aktorów. Te objawy występują ostrzej u młodzieży, która przyszła do teatru bez szkoły, ale zdarzają się i u absolwentów szkół teatralnych. Wiąże się to ściśle ze skomplikowanym zagadnieniem programu nauczania. Aktorstwo wymaga, oprócz przedmiotów zawodowych, ćwiczenia wielu dyscyplin pobocznych (przedmioty ruchowe, głos). Zwiększenie ilości wykładów jest niepodobalszym. A jednak okazuje się ciągle, że ilość godzin przeznaczonych na literaturę, historię teatru i historię sztuki jest za małą, aby student mógł się zapoznać z całym materiałem, który w przyszłości będzie mu potrzebny. I tu znów wypływa sprawa szkoły średniej. Przygotowanie młodzieży do wyższych studiów w dziedzinie przedmiotów humanistycznych jest — łagodnie mówiąc — niedostateczne. Corocznie stwierdzamy przy egzaminach wstępnych nie tylko luki w elementarnych wiadomościach, ale brak jakiegokolwiek zainteresowania literaturą, która przecież jest tworzywem aktora. Poza tym maturzyści nie umieją zupełnie kojarzyć osoby autora z epoką w której żył; wędrują beztrośnie po stuleciach, które są dla nich pustą cyfrą, nie oznaczającą ani faktów historycznych, ani cech obyczajowych. W szkole średniej pracują tylko pamięcią, bez pomocy rozumowania, wyobraźni

i asocjacji. Na przykład, data 1410, rzeczywiście wszystkim znana, nie kojarzy się z opisem Długosza, obrazem Matejki i „Krzyżakami” Sienkiewicza, ale jest wbita w pamięć, jak numer telefonu. W tym stanie rzeczy wykłady przedmiotów teoretycznych, tak niezbędnych dla rozszerzenia horyzontów artysty, zamiast pogłębiać temat, jak być powinno na wyższej uczelni, muszą po szkolanstwu odrabiać zaniebdania szkoły średniej.

Dalsza poważna bolączka — to zagadnienie wymowy. Łatwo stwierdzić, że lata okupacji wpłynęły w sposób fatalny na zaścimienie mowy potocznej we wszystkich warstwach, a okres dziesięciolecia z powodu wielu skomplikowanych przyczyn nie przyniósł pożądanego poprawy. Faktem jest, że młodzież przychodząca ze szkół średniej nie umie mówić gramatycznie, nie rozumie znaczenia wielu wyrazów (faktycznie używa „niestety”, myli „bynajmniej” — „przynajmniej”, „poznać” — „zapoznać”, „sławny” — „osławiony”), zniekształca brzmienie słów i jakoś im to do zdobycia matury nie przeszkadza. Oczyszczenie tego wymaga wiele czasu i żmudnego wysiłku. Toteż o ile na uczelni teatralnej w zasadzie powinno się pracować nad podniesieniem przeciętnej poprawy wymowy do poziomu mowy pięknej, to w praktyce pracuje się nad dociegnięciem bardzo złej wymowy do jakiejś przeciętnej wyrazności.

W tych warunkach problem programu stanowi prawdziwą kwadraturę koła, jest on bowiem dla potrzeb przyszłego aktora właściwie za wąski i za elementarny, a dla przychodzącego do szkoły teatralnej maturzysty — za obszerny i za trudny.

Młody człowiek, któremu brak podstawowych wiadomości z gramatyki, historii i literatury nie przeszkodził w otrzymaniu matury, ma już pewne doświadczenie, gdy chodzi o zdobywanie

wiedzy bez wysiłku. I tak jak mu się udało przemknąć przez gimnazjum, tak będzie usiłował przemknąć się przez wyższą uczelnię.

Czasem mu się to uda, a jeśli nawet się nie uda, to i tak, choć wydany ze szkoły, trafi do teatru poprzez egzamin eksternistyczny, którego poziom nie jest bynajmniej wygórowany. I cóż dziwnego, że pracując już w teatrze przychodzi na ostatnią chwilę do garderoby i woli przesiedzieć w kawiarni, niż w bibliotece. Takie wyobrażenie o zawodzie aktora podsunęło mu otoczenie i tak też ułożył swój tryb życia i pracy.

Można by z tego wysnuć krańcowy wniosek, że wpływ wychowawców jest bez znaczenia. Wiemy, że tak nie jest, ale wiemy również, że — tu pozwól sobie zacytować wypowiedź rektora J. Szczepańskiego w 14 numerze „Kroniki” — urabianie wychowawcze młodzieży jest możliwe tylko wtedy, jeśli ideał stawiany przed oczyma wychowankom jest rzeczywiście realizowany.

MCHAT, o którym wspominał Kronikarz, może wychowywać młodzież na wysokim poziomie nie tylko artystycznym, ale i etycznym, gdyż służy jej przykładem wielkiej miary artystów tego teatru, którzy całe swoje życie poświęcili konsekwentnemu realizowaniu „na codzień” wszystkich postulatów twórczych i moralnych zawartych we wskazaniach Stanisławskiego. Studenci studia MCHAT-u to niewielka garstka wybrana z tysiąca (dosłownie z tysiąca) kandydatów. Wiedzą oni, że jeżeli ich talenty, praca, poziom artystyczny będzie odpowiadał wymaganiom tego teatru, to będą mogli w nim pozostać całe życie, tak jak całe życie pracują w nim ich profesorowie. Jeżeli student zostaje usunięty ze studia MCHAT-u, jest to dla niego ciężki cios, jest to utracenie jakiejś jedynej szansy życiowej. Przeniesienie się i ukończenie innej uczelni — to nie to samo, bo nie ma drugiego takiego teatru na świecie.

U nas student usunięty za takie przewinienia, jak łamanie dyscypliny, lekceważenie pracy i pijaństwo, zostaje natychmiast zaangażowany przez któryś

z małych teatrów terenowych, cierpiących stale na braki w zespole. Młodzieniec zaczyna grać, zarabiać, zdaje wymiarkowany już egzamin eksternistyczny — staje się aktorem o parę lat wcześniej niż jego koledzy „trajerzy”, którzy zostali w szkole. A ponieważ ma dobre mniemanie o sobie, więc widzi już usłaną sukcesami drogę do Teatru Narodowego, drogę na której właściwie formalnych przeszkód nie ma.

Jasne, że niesposób zatrzymać dopływ do teatru kandydatów spoza szkół, byłoby to stanowisko niesłuszne i niespójne. Ale jest również jasne, że nie można się godzić na to, aby nad dyplomantami szkół teatralnych, tymi którzy solidnie i poważnie pracowali, mieli jakąś przewagę ludzie, którzy się do teatru wkroczyli bocznymi drzwiami. Tę kwestię można i należałoby sensownie uregulować.

Poza tym należy stwierdzić, że w teatrach spotykamy dwa zupełnie krańcowe stanowiska wobec młodych aktorów. Albo kompletny brak zainteresowania, brak jakiegokolwiek planu użytkowania młodych sił, brak perspektyw wychowawczych, który wykoleja nawet dojrzałych aktorów, a co dopiero początkujących. Albo drugą ewentualność: hałaśliwie głoszone hasło „stawiania na młodzież”, hasło, którego samo sformułowanie jest trochę nieprzyjemne, bookmacherskie. No, a co wtedy, gdy taki młody koń, postawiony wobec zbyt trudnych przeszkód, połamie sobie nogi i nie dojdzie do mety? Wtedy „stawiający” co najwyżej traci korzyści, których się po tym koniku spodziewał, ale biedny konik idzie dalej, okulażony, okaleczony, i nie bardzo rozumie, co się stało. Taki przypadek wydarzył się w paru teatrach terenowych, gdzie „stawianie na młodzież” polegało na oddaniu decyzji reperturowych i obsadowych w ręce najmłodszych członków zespołu. Były wypadki, że reżyser obawiał się zwrócić uwagę młodzieńców, który się spóźnił na próby, nie umiał roli i opowiadał na scenie kawały — bo spotkałby się z opinią kierownictwa, że jest wrogiem młodzieży. Ci młodzi aktorzy, faworyzowani i demoralizowani, nie stworzyli jednak trwałego kolektywu, rozprzeczli się po różnych teatrach,

wnosząc tam swoje niezadowolenie, złe nawyki i nadmierne apetyty. I dużo wody upłynęło zanim zrozumieją, jeśli zrozumieją, jak należy poważnie pracować w teatrze. I ta huśtawka od surowości czy obojętności do pustego, reklamarskiego wysuwania młodzieży na pierwszy plan i obarczania zadaniami, którym nie jest w stanie podołać, sprawia, że młodzi ludzie nie wiedzą czego się trzymać, a w każdym razie stwierdzają, że zasady poważnej, wytrwałej i skromnej pracy nie pasują ani do jednego „modelu”, ani do drugiego. Dlatego to „wyzwalają” się spod wpływów szkoły i zaczynają wierzyć tylko we własny spryt. Należy stwierdzić, że to nie ich wina.

Staralam się choć w części dotknąć poruszonych przez Kronikarza zagadnień. Nie dotknąłem jeszcze roli wychowawczej organizacji młodzieżowych, gdyż jest to temat obszerny, nadający się raczej do oddzielnej omówienia. Z tej pobieżnej analizy można by, jak sądzę, wysnuć następujące wnioski:

Należy podnieść wymagania przy rekrutacji do szkół teatralnych i wolać wielkim głosem o lepsze przygotowanie maturzystów przez szkoły średnie.

Należy w pracy wychowawczej uwzględnić konkretne warunki, w jakich młody aktor znajduje się na terenie teatru. Odważnie pokazać mu ewentualne wady i braki i tak go przygotować, aby umiał bez zrozumiałstwa skutecznie z nimi walczyć.

Należy rozsądnie i konkretnie prze-myśleć obowiązki wychowawcze teatrów wobec młodzieży. Zapewnienie etatów i możliwości grania — to jeszcze nie wszystko, jeśli chcemy docho-wać się nowego, wartościowego pokolenia aktorskiego.

Należy bezlitośnie tępić wszelkie objawy braku dyscypliny i powierzchownego stosunku do pracy i to bez względu na to, czy aktor jest młody czy stary.

Zrealizowanie tych wniosków jest całkowicie możliwe, a im poważniej będą potraktowane, tym większe będą możliwości przygotowania młodych kadr aktorskich do wielkich i trudnych zadań, jakie na nie czekają.

HANNA MAŁKOWSKA

W obronie sztuki humanistycznej

(Dokończenie ze str. 1)

wej mechanizacji życia, w początkach ery atomowej, na niebezpiecznym zakręcie historii, ideą nadzrędną sztuki, ideą, z której wypływają wszystkie inne, jest i musi być sprawa godności człowieka — humanizm.

Prawdą jest, że z treści humanizmu wypływa prawo swobody twórczej, prawdą jest, że w procesie twórczym działają irracjonalne siły napędowe, że moment wyżywnia się emocjonalnego, wewnętrzna potrzeba wypowiedzenia nagromadzonych doznań, przeważa nad kalkulacją. Niemniej jednak motyw społecznej przydatności powinien być ostatecznym i decydującym kryterium oceny utworu nawet i przede wszystkim w oczach autora.

Względem społeczne przemawiają na korzyść sztuki sprawdzalne w obiektywnych kategoriach rozumowych, a przeciw wszelkim prędom subiektywizmu, przeciwko „natchnieniu”, intuicji i mistyce. Jakiegokolwiek wartości wnoszą twórczość oparta na teoriach intuicjonizmu i automatyzmu — ostrażna rezerwa społeczeństwa wobec zjawisk wyrykających się spod kontroli umysłu będzie aktem samoobrony przed chorobliwymi urojeniami fałszywych proroków oraz zakusami oszustów i kombinatorów żerujących na snobizmie i naiwności.

Względem społeczne dają równocześnie nieodpart argument na rzecz oświeśnianej ostatnio komunikatywności, której nie wolno traktować jako czczego wymysłu polityków oraz spraw kultury. W okresach przemian ustrojowych i wielkich politycznych przewrotów, nowe, dochodzące do głosu klasy stanowią ogromny rezerwat potencjalnych, ale jeszcze nie faktycznych, odbiorców sztuki. W pierwszej fazie świadomości ich, ich zdolność konsumpcyjna jest ogólnie rzecz biorąc niższa, niż elity umysłowej poprzedniej formacji, na wyszukane środki artystycznego wyrazu masy nie reagują. Dlatego też powraca się w sztuce do form starszych — bardziej prymitywnych. Uwstecznienie w tej dziedzinie było koniecznością dziejową, na szczęście krótkotrwałą, ponieważ rozwój świadomości postępuje obecnie wielokrotnie szybciej niż w epokach minionych. Jeżeli więc Przybysz trafnie odsłania naszą przebrzmiałą już teorię zabijającego socrealizmu do czasów Dawida — niepotrzebnie burza się. Była to zwykła nieunikniona i zresztą uświadomiona choroba wieku dziecięcego, wyleczyliśmy się dość szybko i przebyliśmy do tego momentu już kilka etapów rekonwalescencji. Warto sobie uprzytomnić, że podobna ewolucja przeżywała ludzkość w ciągu czterech wieków w okresie od początków renesansu do końca rokoka i w ciągu stu lat od klasycyzmu do impresjonizmu włącznie. Cóż w tej skali znaczą sześć lat naszego zaoferania?

Realne i wymierne dane dotyczące świadomości i uwarunkowania szerokiach mas odbiorców nasuują wniosek, że masy te nie dojrzały jeszcze do tak zwanych modernistycznych kierun-

ków sztuki zachodnioeuropejskiej i że ekspansja owych kierunków na naszym gruncie byłaby przedwczesna i na razie chybiona. Inaczej ma się rzecz z elitą: wśród intelektualistów u nas, i za granicą, wspomniane tendencje stanowią już raczej przeżytek. Odczuwa się pragnienie powrotu do realizmu.

Zwolennicy komunikatywności posiadają jeszcze jeden nieposłędny atut: wielka sztuka, podobnie jak sport wyścigowy, rozkłada w przychylnej atmosferze powszechności, warunkiem zaś upowszechnienia jest zrozumiałość. Niestety, z nadgorliwego praktycyzmu, z niecierpliwości zapominano dotąd o pięknie i bogactwie artystycznego języka, dla porozumiewania się wystarczająco miały gotowe schematy — sloganowo-gazeciarski volapuk.

Powolywanie się na logikę procesów historycznych nie usprawiedliwia innego, generalnego błędu naszej niedawnej polityki kulturalnej — komenderowania. Zamiast stawiać na postęp, szukano kamienia filozoficznego, idealnego, zawsze obowiązyującego wzorca. Historia raz jeszcze wykazała, że petryfikacja kanonów prowadzi do zastojów i manieri: akademizm naprawdę nie zasługiwał na popularyzację.

Komunikatywność to nie znaczy schlabienie gustom epoki, to nie znaczy równanie w dół. Ze względów artystycznych konieczna jest awangardowość: twórczości nie wolno ułomniać z produkacji zastanych wzorów — sam termin „twórczość” wskazuje na wyprzedzanie teraźniejszości. Nie tylko w stawianiu problemów ideowych: bez dociekań i eksperymentów formalnych nie ruszyłbyś z miejscą i prawo do istnienia należy przyznać wszystkim kierunkom artystycznym.

Prawo do istnienia — tak. Ale nie całkowite równoprawienie. Znowu społeczny punkt widzenia każe wnieść poprawkę do propozycji Przybysia. Nie odważyłbym się np. negować zasług abstrakcjonizmu typu konstruktywistycznego, kierunku opartego na rygorach ścisłych i sprawdzalnych, choć, oczywiście, nietatych do sprawdzenia i niedostępnych dla mas, — nie odważyłbym się z uwagi na próby zbadań i rozwiązania zagadnień kluczowych dla nowoczesnej świadomości artystycznej. Oponowałbym natomiast przeciwko automatyzmowi i tak zwanej „sztuce czyściej fantazji”, tendencjom skrajnie subiektywnym. Nie tolerowałbym patologicznych wynaturzeń niektórych odłamów nadrealizmu, protestowałbym przeciw różnym jałowym i szkodliwym odcieniom estetyzmu — z akademizmem na czele, nie popierałbym zwierciadlanego naturalizmu. Przysnążając wszystkim prawo głosu wzmógłbym cenzurę wypowiedzi. Oczywiście a posteriori, nie a priori, na drodze dyskusji i polemiki, bez administracyjnych zakazów i sankcji.

Dość często głosi się ostatnio kryzys i zmierzch malarstwa. Film i fotografia barwna wykazały wyższy stopień sprawności w analizie materiału postrzegalnego wzrokowo, nie ma szans

współzawodnictwo z literaturą wyspecjalizowaną w psychologii oraz formułowaniu pojęć oderwanych, muzyce trzeba oddać pierwszeństwo w zdolności wywoływania nastrojów, pobudzania emocjonalnych reakcji. Fałszywy jednak i bezpodstawny byłby wniosek, że bezsensiem jest w ogóle wszelkie przedstawianie rzeczywistości. Sztuki plastyczne nie dysponują istotnie możliwościami wyobrażenia, a tym mniej konstruowania sądów oderwanych, zawsze, nawet w alegorii, musi występować jakaś konkretna miłość, konkretny wyzysk, konkretna masakra. Można wprawdzie kusić się o wyrażanie własnych stanów uczuciowych, jeśli jednak czyni się to przy pomocy bezprzedmiotowych układów form — malarstwo zamiera.

Trzeba wówczas skupić inwencję na komentarzu odautorskim, dziełem sztuki staje się raczej zgrabny aforyzm, fascynujący, nasuwający skojarzenia tytuł — płótno pozostaje tylko ilustracją, niekoniecznym dodatkiem do literackiego pomysłu. Sukces uwarunkowany jest umiejętnością obrony swej postawy, im kto mocniejszy w gębie, im lepiej potrafi zorganizować propagandę, tym łatwiej zbiera laury.

Funkcja i wartość nowoczesnego malarstwa polega na czym innym: żadna ze sztuk nie zdołała w stopniu równym osiągnąć równowagi, optycznego uogólnienia procesów życia — w tej jednej dziedzinie zachowało zdecydowaną przewagę. Oznacza to, że warunkiem istnienia i samodzielności gatunku staje się poszukiwanie syntezy zjawisk wizualnych, inaczej mówiąc — realizm. Pozostaje to w całkowitej zgodności z rozwojem społeczeństwa. Umysłowość współczesna, powszechny głód wiedzy, domagają się możliwości wszechstronnej, a więc i optycznego naświetlenia zagadnień, z drugiej strony tempo życia, daleko posunięty podział specjalizacji zawodowych odstręcają nas od rozrzućliwych wykładów, lubimy sformułowania jasne, zwięzłe, trafiające w sedno — pragniemy syntezy.

Sztuka socjalistyczna nie musiała i nie musi być za wszelką cenę realistyczną. Wybraliśmy tę drogę świadomie wśród wielu możliwych, jako jedną z różnych względów słuszną. Nie znaczy to, że twórcy, którzy poszli lub próbują iść po innych torach, przechodzą na wrogie pozycje. Obowiązkiem naszym — artystów, krytyków, działaczy kulturalnych — jest nauczyć się odróżniać prawdę od fałszu, odmiennieść metod od wstecznych, zamierzonych i niezamierzonych, tendencji. W zamian nie dajmy się zasugerować, że w worku z etykiety realizmu pomieszcza się najrozmaitsze dowolne poczynania.

Po dziesięciu latach mniej lub więcej nieudanych prób widziałymy malarstwo zbliżone w zasadach ogólnych do założeń włoskiego neorealizmu. Nie wyrzekając się konkretyzacji wykładów, ale nie rezygnując z żadnych dowodów pomocnych w artystycznym przekazywaniu prawdy, powinniśmy dążyć do jasnej, przemysłowej, zwartej konstrukcji, do jednoznacznej formułowania treści, do syntezy. Głoszę za sztuką intelektualną.

HENRYK ANDERS

Wspomnienie o wrześniu



Z reguły nie dowierzam autorskim przedmowom, co nie oznacza naturalnie, abym nie dowierzał pisarzom. Wydaje mi się, że bardzo subiektywny z natury rzeczy stosunek pisarza do ukończonej pracy pociąga za sobą wyznania niezwykle może ciekawe dla psychologii twórczości, ale niemal nieużyteczne, a niekiedy wręcz wyznaczące „fałszywy trop” dla krytyki.

Nieco inaczej wygląda sprawa w wypadku sporego opowiadania Zofii Lorentz „Szpital polowy nr 4”, które ukazało się kilka miesięcy temu wydane przez MON. Tu króciutkie wyznaczenie autorskie wiernie przystaje do całości książki, a po jego uważnym przestudiowaniu uczucie zawodu, zarówno u mnie jak i in plus, stało się dla mnie obce w ciągu dalszej lektury. Zofia Lorentz zapowiada bowiem niewiele, ale tego, co zapowiada, dotrzymuje rzetelnie. Boję się co prawda, że przeprowadzenie racjonalnego dowodu na zgodność zapowiedzi przedmowy z „kształtem sprawdzalnym” książki napotykałoby na poważne trudności, ale w tej mierze — sądzę — wolno mi po prostu na subiektywnym odczuciu.

Dla mnie na przykład wiadomo, że autorka „Szpitala” rzeczywiście pisała w wrześniu 1939 r. w jednym ze szpitali polowych Dowództwa Obrony Warszawy nie jest wprawdzie wystarczającą podstawą do stawiania znaku równania pomiędzy Zofią Lorentz a Elżbietą z kart opowiadania, ale stanowi pewnego rodzaju wyjaśnienie, dlaczego to autorka było wygodnie rozpoczynając narrację sygnalizować, że jest to szpital widziany oczyma Elżbiety, dlaczego autorka wygodnie było pozbawić się prawa do dodatkowej, większej niż może posiadać ją którykolwiek z bohaterów wiedzy o świecie. Dla kogoś innego wyjaśnienie takie może nie być wystarczającym — faktem jest przecież, że opowiadanie Zofii Lorentz utrzymywane jest w konwencji wspomnień głównego bohatera.

I dalej. Dla mnie fragment przedmowy, w którym autorka wyznaje, że w owe straszliwe dni poznała „smak bohaterstwa i gorzcy zawodu w ocenie ludzi”, piękno prostoty spełnionego obowiązku oraz nędzne żałki tchórzostwa i egoizmu” stanowi zapowiedź jakości psychologicznej książki, stanowi zapowiedź ukazywania owego bohaterstwa i tchórzostwa w sposób bardzo tradycyjny, to znaczy od strony widzianych z zewnątrz nieskomplikowanych odruchów, a nie od strony wewnętrznej treści, a nie od strony psychologicznej.

*) Zofia Lorentz „Szpital polowy nr 4”, Wyd. MON, 1955 r.

Samokrytyka nie zawadzi

(Dokończenie ze str. 2)

zmiany ogórne, jeżeli nie zmienić się młodzież i jej organizacje. To jest rzecz zasadnicza. Nie chciałabym stwarzać sugestii, że wszystko w przeszłości było lepsze, ale naprawdę kiedyś mieliśmy własne publikacje, gorące dyskusje i poważną pracę w kole naukowym. A programy wcale nie były inne. Po prostu w międzyczasie ZMP przestało myśleć o wychowaniu nowej inteligencji, nie stwarza atmosfery zapachu do nauki, chęci dyskusowania wątpliwości. Przeciwnie, toleruje błogie przeświadczenie, że na wyższe uczelnie przychodzą sami marksiści, za twierdzeni przez Powiatowe Rady Narodowe. Wątpliwości natomiast mają wrogowie, których — jeżeli już wślizną się między studentów — zdemaskują pytania, jakie będą stawiać wykładowcy czy koledzy.

Warto, doprawdy warto, skoro zabiera się głos w sprawie trudności jakie przeżywają Uniwersytety, zacząć od siebie.

ALINA GRABOWSKA

nej motywacji dokonywanych czynów. Dla kogoś innego wyjaśnienie takie może nie być wystarczające — ale faktem jest, że opowiadanie Zofii Lorentz nie żywi ambicji studium psychologicznego.

Dla mnie — choć tu już ciąg skojarzeń prowadzących do takiego właśnie odczucia był bardzo złożony — informacja o tym, że pierwsza wersja „Szpitala” powstała już zimą 1940 r., sygnalizowała, że mały, zagubiony w brzośnie się Warszawie i nieomal zupełnie pozabawiony fachowej obsługi szpital polowy nr 4 nie stanie się na kartach opowiadania miejscem szczególnie silnych śpieć moralnych, czy też miejscem gdzie przypadkowy dobór pochodzących z różnych środowisk rannych pozwoliłby ukazać wywołane wrześnie i psychologiczne konflikty społeczne i psychologiczne w wymiarach zniekształconych (i dlatego może szczególnie ciekawych) czysto fizycznymi cierpieniami bohaterów. Dla kogoś innego przypomnienie to może wydać się wróżeniem z fusów — faktem jest przecież, że wspomniany szpital z książki Zofii Lorentz rzeczywiście nie stanie się miejscem takich śpieć moralnych czy konfliktów psychologicznych.

Pozwoliłem sobie „zreferować” publicznie wątpliwe ścieżki, jakimi wychodząc z przedmowy dochodziłem do tego, czym opowiadanie Zofii Lorentz nie jest, trochę dlatego aby być w zgodzie z samym sobą, ale głównie dlatego, że skrupulatna lektura opowiadania potwierdza moje intuicyjne przypuszczenia. Najwyższy czas powiedzieć teraz słów parę o robocie pisarskiej — być może okaże się, że idąc z tej strony również można dojść do wniosków, jakie uprzednio wyciągnąłem.

W robocie pisarskiej rzecz wygląda tak. Akcja zaczyna się u kresu wojny. Po zrealizowanym w narracji odautorskiej powrocie Elżbiety do domu, rozpoczyna się wielka, stanowiąca trzon opowiadania, retrospekcja prowadzona bez zakłócenia następstwa czasowego. Punktem wyjścia do tej retrospekcji są skojarzenia wywołane u Elżbiety migotaniem świecy, a — formalnie rzecz biorąc — wtręty w rodzaju: „Elżbieta, pamięta, zatracała je (chodzi o pocucie rzeczywistości) nocą, pełniąc dyżurny w szpitalu”. Całość retrospekcji rozbita jest na podrozdziałki, zawierające opis sytuacji, dialog, czy dłuższy nieco wycinek akcji, mogące na dobrą sprawę stanowić odpowiednik jednego mgnięcia ogaraka. Pamięć Elżbiety, a raczej owe wtręty świadczące o tym, że są to wspomnienia głównego bohatera, stopniowo zostają wypierane, ustępując miejsca normalnej narracji odautorskiej, utrzymanej w czasie przeszłym, aby powrócić dopiero w partiach końcowych, kiedy to brzęk szyb wyrzyna Elżbietę z zadumy. Kąt widzenia bohatera zachowany jest przez cały czas, a kilka luźnych, dotyczących ubocznych postaci i rozgrywających się poza terenem szpitala fragmentów, zostaje wmontowanych w całość przy pomocy (dzięki się to np. z historią Zośki) rzucanego w przestrzeń pytania „Jakże to z nią było?”, czy podobnego chwytu formalnego — co sugeruje wtórne przetworzenie m.in. wydarzeń w świadomości wspomnianego bohatera.

Oczywiście tak staranna konstrukcja opowiadania, utrzymująca konwencję wspomnień, a jednocześnie rezygnująca z narracyjnego „ja” bohatera, musi czemś służyć i dlatego być użyta. Wydaje mi się, że ważką racją dla jej zastosowania była samoobrona pisarki przed trudnościami tematu — widzenie oczyma bohatera pośrednio redukuje obowiązek wiedzy o świecie i ludziach do poziomu mentalności tego bohatera (a w wypadku „Szpitala” Elżbieta nie jest jedynie miłą panią z „dobrego domu”), a z drugiej strony rezygnacja z „ja” narracyjnego pośrednio redukuje obowiązek odśladania psychologicznego wnętrza samego narratora. Korzyści te rozciągają się, oczywiście, również na sferę konfliktów społecznych i moralnych — tu również mentalność bohatera może spełniać rolę soczewki rozpraszającej: rzecz niemal nie do pomyślenia poza konwencją wspomnień.

Podsumujmy. Zofia Lorentz nie kroi na „wielką psychologiczną prozę” — jej opowiadanie, skromne i rzetelne, daje się jednak czytać z zainteresowaniem głównie dzięki ładunkowi emocjonalnemu, jaki został w nie wmontowany, przez głębokie zaangażowanie się bohatera w wydarzenia — co też jest, już pozytywną, konsekwencją konwencji wspomnień.

JERZY PANASEWICZ

Czy płodny niepokój?

(O X Dorocznej Wystawie ZPAP)



Edward Nowicki

Koreañczyk (gips)

(Z X Dorocznej Wystawy Pol. Art. Plast. w Łodzi)

niżej tusz Fijałkowskiego „Słońce na Hali Kondratowej”, który zaskakuje niebanalnością spojrzenia i pasją niecodzienną w naszej łódzkiej grafice. Piszący te słowa opowiada się także za „Fernandem Legerem” Kunki. Przekonał mnie do swej pracy sam autor, konsekwentnie realizujący doskonałą, czytelną koncepcję, której niepowtarzalność odbierze sens całemu „sporo- wi o Legera”. Wcale nie odstrasza mnie stawiana jako zarzut generalny pozorna taniość kompozycji. Dostrzegam tu niemało dekoracyjnego sensu i doskonałe widzę „Legera” wiszącego w foyer jakiegoś teatru; temu obrazowi, jak żadnemu innemu, przeszkadza sąsiedztwo innych kompozycji.

Inaczej „Pływaczka” Nowosielskiego. Wisi skromnie, nie narzuca się kolorem ani formatem. Przypomina jedną zapiętą przeze mnie z poprzedniej wystawy martwą naturę czerwonej garczki, także Nowosielskiego, który zawsze demonstruje nam wyszukaną formalnie, świetnie wyważoną kompozycję. Świadomość — to cecha, wyróżniająca Nowosielskiego spośród reszty wystawiających. Ale i na nim chyba już kończy się rejestr malarstwa, z którym warto podyskutować. Krok dalej, to akademizm Sikorskiego (znow to widmo ukrytego naturalizmu) i może jeszcze landrynkowa pustka, wyciskająca swoje piętno na pracach Łubniewicza — malarza po którym spodziewamy się bardzo wiele.

W ten sposób wyglądać będzie niepokojne sprawozdanie z wystawy, jeżeli potraktujemy ją ostro, od strony dużych wymagań, stawianych naszemu malarstwu w trosce o jego jakość.

EDWARD GROSSBAUM

Nowości wydawnicze

Rok, który upływa, przyniósł stosunkowo dużo pozycji satyryczno-humorystycznych. Wyszły one nakł. „Czytelnika” i Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Wszystkich tych pozycji w pobieżnym przeglądzie nie da się, rzecz jasna, nie tylko omówić, ale nawet zasygnalizować. Należy zacząć od pośmiertnego wyboru KONSTANTEGO I. GAŁCZYŃSKIEGO: „SATYRA, GROTESKA, ŻART LIRYCZNY”. Obszerny ten, pięknie wydany i dowcipnie przez Henryka Tomaszewskiego zilustrowany, tom reprezentuje dość bogaty przegląd twórczości poety, — odznaczającego się wyjątkowo bujną wyobraźnią i finezyjnym poczuciem humoru — wykorzystującego się przede wszystkim w grotesce. Tom przypomina wiersze przedwojenne, „Listy z flotkiem”, scenki „Zielony gest”... itd.

Z tomem utworów wybranych wystąpił ARTUR M. SWINARSKI. Tom, jak na wieśtoletni dorobek, nie jest zbyt duży, ale za to zawiera na ogół rzeczy doskonałe, poczynając od pierwszych stron, od „Prologu” i „Kłótni muz”. Swinarski uprawia różne formy — od grotesku prozą (najmniej interesujących) aż po epigramaty i przekłady z poezji niemieckiej. Urzekają jego parodie, ta chyba najszlachetniejsza odmiana satyry czysto literackiej. Szkoda, że surowy autor nie uszytkuje swoje parodie pomieścić w książce.

Jeszcze trzeba wspomnieć o kolejnym (którym to już w dziesiątym) tomie JOZEFY PRUTKOWSKIEJ „GDYBYM BYŁ GOGOLEM”. Prutkowska jest chyba poetką najprędzej reagującą na sprawy bieżące. Ma to swoje zalety (zwłaszcza z punktu widzenia redaktorów pism), ma też i swoje wady (zwłaszcza, z punktu widze-

nia czytelników)... Niestety, niektóre utwory zamieszczone w książce — nie wywołują korzystnego wrażenia.

Z debiutów należy zamożować „KOLCE BEZ ROZ” TADEUSZA POLANOWSKIEGO. Utwory wierszowane, wśród których przeważają frazki, ułożone są chronologicznie w małą kronikę polityczną ostatnich lat i świadczą o tym, iż Polanowski również umie reagować „na poczekaniu”, a robi to nierzad cennie i dowcipnie.

Gdyby zastanowić się nad tym, którzy to nasi piszący prozą humorystyczną są najpopularniejsi — należałoby wymienić STEFANIE GRODZIŃSKĄ i WIECHA. Wiech tę popularność zdobył sobie już przed wojną. Grodzińska w ostatnich dziesięciu czy osiemnastu latach. Oczywiście, trzeba się zastrzec, iż „najpopularniejsi” to nie zawsze znaczy: najlepszy. Jest coś, co w zjawisku popularności nie daje się do końca wyśledzić i sprecyzować.

Grodzińska wystąpiła z dużym wyborem „FELITONÓW I HUMORESEK”. Tom został przez autorkę i jej ilustratorów wyjątkowo starannie opracowany.

Grodzińska, znana z teatrów estradowych i może tam należy szukać źródła jej dużej umiejętności w konstruowaniu dialogów, a raczej — „dialogów”.

Autorka najchętniej obserwuje marginesy naszego życia, swoje Alicje i niezadowolone — a częściowo i z lekką skretynia — plotkary. Często przy tym ulatwia sobie pracę, gdyż powtarza się.

Duży tom prozy i wierszy wydał także WIESŁAW BRUDZIŃSKI pod tytułem „HUMORESKI I FRASZKI”. Niewiele rzeczy nas tu bawi lub z innych powodów zartujemy naszą uwagę, nie wszystkie rymowane dowcipy urzekają. Gdy w pierwszych

humoreskach Brudziński postępuje się na ogół ograniczonymi w humorystyce konwencjami, to „im dalej w las” — dochodzi do jakichś bardziej własnych sposobów. Tom stanowczo należało poddać ostrzejszej selekcji.

Częściowo do satyry można zaliczyć interesującą książkę opowiadań STANISŁAWA ZIELIŃSKIEGO „KALEJDOSKOP”. Charakterystyka typów i sytuacji jest tu znacznie bogatsza, niż w innych autorów.

Po przeczytaniu tytułu pozycji, niestety, dość wyraźnie odczuwa się pewną istotną słabość zwłaszcza naszej prozy satyrycznej. Wyraża się ta słabość w zbyt małej odkrywczości tematycznej, w odrywaniu bohaterów czy bohaterki od jakiegoś niezaprzeczonego kontekstu społecznego.

Pozycja, jak na nasze stosunki wydawnicze, znakomicie jest wydana. Karykatury znakomitego JERZEGO ZARUBY p. t. „PRAWDA W OCZY KOLE” (nakł. RSW „Prasa”).

Należy miłośnikom satyry życzyć, aby nareszcie przelamano niechęć do wydawania albumów karykaturzystów. Chodzi zarówno o dawnych, jak i o współczesnych. Kiedy np. ukaze się album poświęcony twórcom zmarłego w tym roku Kazimierza Grusa?

KRONIKA 16

DO CZEGO SŁUŻY TATUŚ?

DYSKUSJA wokół wychowania młodzieży, tak ostatnio żywa w naszej publicystyce, poruszyła nas — rodziców na dobre. Chciałoby się od razu powiedzieć — obrażają dzieci, zapominają o ich ojcach i matkach!

Jakże bowiem wygląda sytuacja z punktu widzenia zatroskanego o swe pokolenie rodzica? W każdym razie nie tak źle, jak ją malują specjaliści od krytykowania naszej młodzieży. Zgadza się na takie sformułowanie, że w budownictwie socjalistycznym zatroszczono się głównie o pewne zdobycze cywilizacyjne dla naszych dzieci i wnuków. Wybudowano sieć instytucji, które MHD nazwałby zapewne — punktami usługowymi zimnego wychowu młodych. A więc żłobki, przedszkola, szkoły — niższe, średnie i wyższe. Gdyby to z tej wcale gęstej sieci instytucji wynikało automatycznie należyte wychowanie! Ponieważ jednak nie wynikało — runęli publicyści na nasze dzieci! Ano, że łobuzeria, chuliganizm, starsi piją wódkę, gwałcą dziewczęta, że spędzają tajemnie plód, a w ostatniej instancji jako tako prostuje drogi życiowe młodych... sąd.

Tego rodzaju krytyka, jaką mogliśmy odczytać w artykule W. Karczewskiej („Kronika” nr 14) traci sensację. Należy przecież liczyć się z tym, że prasa szczególnie społeczno-kulturalna nie jest czytana tylko przez dorosłych. Trzeba było obserwować jak młodzież rozkupywała wspomniany numer „Kroniki”. Tak czy inaczej, wytwarzamy wokół młodzieży atmosferę niedrodwej sensacji, dostarczamy jej pikantnych szczegółów, przykładów, powstaje w rezultacie wcale nie wychowawczy klimat. Trudno się doprawdy zgodzić rodzicom na taki przebieg dyskusji.

Osobiście nie jestem świętoszkiem i wiem dobrze, że chłopak, skoro tylko podrośnie — będzie się oglądał za dziewczętami. Sek w tym, czy skoro — nie daj Boże — ujawni brutalny, chamski stosunek do kobiety — owe „sensacyjne” artykuły wrócą go na dobrą drogę! Myślę, że nie, gdyż młodzież schwyty „smaczki”, „dreszczki”, a nie konstruktivny program działania, który jest w artykule bardzo wątpliwy.

Często w dyskusji o młodzieży — atakuje się szkołę. Można się z takim stanowiskiem zgodzić, ale nie bez zastrzeżeń. Henryk Dinter w tym samym numerze „Kroniki” stwierdza, że szkoła nie daje sobie rady. Jasna rzecz, jeśli wziąć pod uwagę fakt, iż wyposażenie zwłaszcza młodego wychowawcy zaczyna się na Makarencie i na nim kończy, lub niewiele dalej.

No, ale co z tego? Nauczyciele niedouczeni, organizacja młodzieżowa senna, czy to jest program działania? Czy starczą za ten program banały w rodzaju: nauczycielu, a uczynię, do licha, cud i niech się młodzież poprawi?

W tym miejscu chciałbym przypomnieć o nas — ojcach i matkach, przypomnieć o rodzinie. Jest to ogólnie wychowawcze tym silniejsze, im słabiej wyglądają wyniki pracy pozostałych — szkoły, ZMP, harcerstwa, zakładu pracy. Tymczasem o pracy wychowawczej rodziców mówi się najmniej. A przecież nikt nie sądzi chyba, że starsze pokolenie z reguły jest zadowolone, a rodzina burżuazyjnym przeżytkiem.

Był u nas okres, pokazany przez Brandysa w „Obywatelach”, kiedy to młodzieży „ustawiała” starszych, kiedy lansowano mniej lub więcej wyraźną walkę między pokoleniami. Walka ta rozdzierała niejedno matczyne serce, prowadziła do utraty autorytetu przez rodziców. „Tata, dobry chłop, ale nie z tej epoki, schyłkowy” — mogliśmy usłyszeć od własnych dzieci. Sytuacja, moim zdaniem, niedobra.

Inna rzecz, że i my rodzice nie zawsze umiemy wychowywać. Stare recepty zawodzą. Ojciec nie może powtarzać przysłowiowego już łgarstwa: „ja w twoim wieku uczyłem się na samych piątkach, szkoda, że mi akurat świadectwa zginęły”.

My, rodzice, sami nie naprawimy błędów, które młodzież popełniła i jeszcze popełni, jeśli nie włączym się nas w ogólny, szeroki front wychowania.

Nasza sytuacja nie jest łatwa. Współczesna rodzina coraz częściej opiera się na pracy obojga rodziców. I to jest słuszne. Ale... Mieszkają obok mnie Horokosowie. Mają oni dwoje dzieci w wieku lat 5 i 7. O godzinie 7 rano wychodzą do pracy. Ściągają więc dzieci z łóżek, młodsze prowadzi matka do przykładowego przedszkola, starsze wędruje z ojcem do świetlicy szkolnej III TPD. Tu oczekuje ono do godz. 13.30 na rozpoczęcie lekcji (z braku pomieszczeń młodsze dzieci uczą się po obiedzie). Do godziny 17 dziecko przyswaja sobie naukę, zmęczone i zaabsorbowane zajęciami świetlicowymi. Wraca do domu około godziny 18, zjada obiad wraz z kolacją, próbuje odrabiać lekcje, wreszcie zmęczone zasypia. Trudno w takich warunkach mówić o wychowaniu w domu rodzinnym.

Pomyślnie tylko — dziecko 7-8-letnie znajduje się przez 9 godzin w ciągłym

napreżeniu, bez odpoczynku — traci zdrowie, staje się przesadnie nerwowe, pobudliwe, pragnie snu. Lekarz zaleca dwugodzinne leżakowanie, ale jak to zrobić? W świetlicy szkolnej nie ma łóżek, szkoła to nie żłobek. Horokosowie, a z nimi setki, jeżeli nie tysiące rodzin, żyją w głębokiej rozterce. Jeżeli matka porzuci pracę — będzie w domu chudo. Nie posyłać dziecka do szkoły? Jacy rodzice na to przystaną, pomijając już kolizję z prawem. Więc co?

Jest to pytanie, na które trzeba koniecznie znaleźć odpowiedź. Pozbawiona kontroli rodzicielskiej młodzież łatwiej idzie „na ulicę”, ulega złym wpływom, przyjaźni się z takimi, którzy również rzadko widzą rodziców i chodzą samopas. Znana jest ogólnie anegdota o dziecku, które spytało: „a do czego służy tatuś?”

Powiadają o młodzieży, na którą rodzice nie mają wpływu, że uczy się samodzielności. Tak, ale jest to samodzielność, która prowadzi za szkołę gąbłotki stojące przy ulicy Piotrkowskiej. Wywieś się tam fotografie młodych ludzi ukaranych przez Kolegię Orzełkającą za wybryki chuligańskie. I kiedy przyjrzeć się sytuacji rodzinnej owych chuliganów, okazuje się, że rodzice nie mogą ich wychowywać na skutek braku warunków, lub nie umieją.

Trzeba więc, jak się nam — rodzicom wydaje, widzieć rodzinę jako poważne środowisko wychowawcze — lepiej, wyraźniej, niż to się dotąd dzieje.

W czym moglibyśmy pomóc? Chciałoby w kierowaniu czytelnictwem młodzieży, która czyta grubo więcej, niż to przewiduje program nauczania. Sprawa ważna, choć zapewne nie rozstrzygająca o moralnym obliczu młodych, jak słusznie zresztą zauważa Karczewska.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że wychowankowie przedwojennych liceów humanistycznych znali m. in. z literatury światowej: „Cyda”, „Świętoszka”, „Skapca”, „Sen nocy letniej”, „Hamleta” (przy nauczaniu języka polskiego), „Pieśń Nibelungów”, „Zbojców” i „Goetza von Berlichingen”, „Fausta”, a ponadto wiersze Goethego, Schillera, Uhlanda, fragmenty listów o teatrze Lessinga, fragmenty Kanta (przy nauczaniu języka niemieckiego) czy Iliadę i Odyseję, wiersze Horacego i Vergiliusza, przynajmniej mowę Cyncerona przeciw Katylinie (przy nauczaniu łaciny), nie mówiąc już o utworach dyskusyjnych w kółkach naukowych.

Na tych fragmentach, czy choćby tylko próbkach myśli ludzkiej, zaczyna młody człowiek rozumować, urabia sobie pierwszy pogląd na świat.

Dzisiejszy uczeń nie zna nawet połowy z tego co wymieniliśmy. Proszę mnie źle nie rozumieć. Jestem daleki od twierdzenia, że międzywojenna szkoła jest idealna, do którego trzeba powrócić. Myślę tylko, że rodzice mogą walczyć o rozszerzenie i właściwe pokierowanie ponadobowiązkową lekturą swoich dzieci. Jest to jeden z warunków wychowania estetycznego. W tym kierunku powinna pracować z nami żywej szkoła kulturalno-oświatowa w zakładach pracy.

Czytelnictwo młodzieży! Specjalny to doprawdy rozdział. Oczywiście nie każdy chłopak chwyci, jak Słowacki, Iliadę w 10-tym roku życia i nonsensem byłoby wtykać młodzieży całą lekturę o której mówiliśmy wyżej. A co polecać?

W roku 1954 wyrokem sądu, który odbył się na łamach tygodnika „Dookoła świata” — książki Karola Maya zostały wyrzucone na śmietnik, a młodzież naszą pozbawiono ulubionej lektury. A — jak wiadomo — nasze wydawnictwa wciąż jeszcze mało rzucają na rynek frapujących książek. Dziwna rzecz — „Dookoła świata”, jest piśmem szczególnie przez młodzież poszukiwanym, między innymi dlatego, że daje pozycje zbliżone do atmosfery książek właśnie... Maya.

Właśnie ja, 28 lat temu, kiedy miałem 13 lat, znalazłem książkę Karola Maya na śmietniku. Był to rozsypany, postrzępiony egzemplarz „Skarbu w srebrnym jeziorze”. To mnie chwyciło. Słagnałem po nią i zacząłem czytać. Dotąd nie interesowałem się książką, wołałem zbijać bakłi, czyli jak to się mówi, chuliganizm. Po przeczytaniu pierwszego tomu zacząłem się oglądać za drugim i trzecim. Odtąd książka nie wychodziła z mej reki. Gdy przeczytałem wszystkie „szmiry” Karola Maya słagnałem po innych, lepszych autorów powieści podróży — Umfiskiego, Verne’a, Curwooda. Powoli doszedłem do tego, że wyrzuciwszy wszystkie powieści brukowe ze swej biblioteczki i z głowy, w rodzaju Zane Greya, Baxtera, romanse w rodzaju Zarzyckiej, Marczyńskiego i Pitigrillo, otoczyłem się arcydziełami literatury światowej.

Jestem zwykłym urzędnikiem, a to, że zapragnąłem napisać ten felieton zawdzięczam powieści frapującej, której autorem był Karol May, wyrzucony dziś na śmietnik.

Trzeba, doprawdy trzeba, przedyskutować publicznie rolę rodziców w wychowaniu młodzieży, odpowiedzieć dziecku na pytanie: „do czego służy tatuś?”

Słońce dla Diogenesa



Oto epigoni Kaczora Donalda z „Ukaranego łakomstwa”

NIEPRAWDOPODOBNIĘ zbliżony, spłaszczony dziób kaczoza Donald, stojącego głupkowate miny w takt świetlnie zsynchronizowanej muzyki jazzowej, wywoływał zawsze na widowni salwy śmiechu. A oszalała gąbłotka kręcącego kuprem kaczoza za biedną małą Mickey-Mouse podniecała widownię i wywoływała świsty, gwizdy, i nieskoordynowane okrzyki. Kanciaste linie postaci, poronujące ucieczki i znikania, którym towarzyszył charakterystyczny świst powietrza, nieartykułowane dźwięki, imitujące ludzką mowę, a dobywające się z kaczoza spłaszczonego dzioba — oto co zostało w mojej pamięci z przedwojennych, przeważnie amerykańskich, filmów rysunkowych albo inaczej kresekówek.

Szczątki tych filmów rysunkowych, nierzadko kończących się budującą sentencją „jedźcie tylko groszek Smitha”, albo inną w stylu „Radion sam pierze” — szczątki tych zwójów znalazły się po wojnie w skąpo wyposażonym i żywiołowo (powiedzmy bezpłatnie) organizowanym Archiwum Filmowym. I one to stały się podstawowym materiałem szkoleniowym naszych powojennych rysunkowców. Bądźmy sprawiedliwi — nie jest to winą naszych pionierów filmu rysunkowego po wojnie, że szczątki tych filmów stanowiły pożywkę, zapładniającą naszych reżyserów, scenarzystów, animatorów i „fazystów” filmu rysunkowego. I nie jest też ich wyłączną winą, że „głębokie” — na owe czasy — sentencje w rodzaju „jedźcie tylko groszek Smitha”, zamienione zostały po wojnie na hasła „zakładamy spółdzielnię”, albo inne w stylu „łepny stonk!”

Elekro wspominał pierwsze powojenne polskie filmy rysunkowe i przywołał na pamięć ich tytuły, jak „Traktor A 1”, „Ich ścieżka” albo „O nowe jutro” — nasuwa mi się uporczywie zwłaszcza jeden z filmów owego okresu zatytułowany: „Czy to był sen?”

Wydaje mi się na szczęście, że to był sen. Sen, który minął bezpowrotnie. Pociężyć się można — jeżeli niepowodzenia innych stanowią mogą pociechę — że i w innych dziedzinach naszej działalności kulturalnej i w innych gałęziach sztuki chrapaliśmy wówczas nienajgorzej.

Że filmy te znamionowała prymitywna technika, nieporadne operowanie ruchem, mocno kulejąca i zacinająca się animacja i bardzo, bardzo pośledni dźwięki (w odniesieniu do dźwięku dzisiejszych filmów użyłbymy tylko jeden raz słowa „bardzo”) — to chyba na owym „etapie” było wytłumaczalne. Ale mniej już jest wytłumaczalne zjawisko niezdecydowania w adresowaniu sztuki: czy aplikować dorosłym poważne problemy (polityczne) w sposób poważny? Tentum non datur. Nie pomyślano o tym, że można przecież aplikować dzieciom problemy odpowiednie dla ich wieku w sposób dowcipny i zajmujący. Nie pomyślano o tym albo nie chcieliśmy pomyśleć. I dlatego szereg filmów tego okresu nigdy nie ujrzało światła ekranu, bo dorośli by je wyśmiali, a dzieci usnęły.

To niezdecydowanie tak się wówczas w programowych ciach kinematografii zagnieździło, że dało o sobie znać jeszcze w roku 1953 w filmie „O Kaczce-Plotce”, w którym kaczoza plotkarka swym karygodnym zachowa-

nem się wykazała, że czujność obowiazuje. Komu chciano to powiedzieć? Dorośli o tym już wiedzieli i otrzymali dostateczną lekcję w filmie „Niedaleko Warszawy”, a dzieci? Dla dzieci problem ten w postaci przedstawionej w filmie jest tak samo daleki, jak niezbadane drogi ówczesnego powstania tzw. planu tematycznego komórek programowych.

Znana jest anegdota o Diogenesie w beczce, przed którym stanął pewnego dnia Aleksander Macedoński.

— Czego pragniesz? — zapytał Aleksander Diogenesa — powiedz, a spełnię każde twoje życzenie.

— Odsuń się, proszę — rzekł Diogenes — zastaniasz mi słońce. — Cień Aleksandra Macedońskiego zastaniał nieraz dobrą wolę pionierów polskiego filmu rysunkowego.

Film rysunkowy uplasował się po wojnie w Bielsku. Dlaczego aż w Bielsku? Dużo można by na ten temat pisać, a jeszcze więcej powiedzieć, ale ostatecznie dzieci rodzą się też w pogaciach i na okrętach. Ważne jest czy staną mocno nogami na ziemi.

Film rysunkowy to przede wszystkim praca plastyków, grafików, rysowników i malarzy. W Bielsku, ówczesnym Bielsku, Cygański Las, kolejka linowa na Szyniźnie i zespół — dziś już wyspecjalizowanych, ambimnych i zdolnych mierz pracowników filmu rysunkowego. Zapładnianie tego zespołu plastycznymi projektami szło i idzie optymistycznie. Udział warszawskich plastyków jest za każdym razem jedyny i — ostatni. Zamecznik, Srokowski, Lipiński, Ha-Ga, Siemaszko, Szancer, Gronowski — dość długa jest ta lista, niemal tak długa, jak długi jest wykaz filmów zrealizowanych przez studio w Bielsku.

Z Warszawy do Bielska jest ponad 370 km. Trzeba jechać całą noc. Ale mimo to — o, swoista geografii polityki kulturalnej! — z Warszawy do Bielska jest bliżej niż np. z Krakowa, Stalino-grodu i — last not least — z Łodzi do Bielska.

Czy można wyżyć z honorarium za scenariusz filmu animowanego (rysunkowego lub kukielkowego), jeśli się nie jest jednocześnie redaktorem stołecznego pisma, konsultantem różnych wydawnictw i członkiem kilku rad i komisji?

Scenarzystom filmu fabularnego przynależało podwyższone honorarium i nagrody za film. I rzeczywiście (nie tylko zresztą dzięki temu) w warszawskim świecie literackim nastąpiło pospolite ruszenie. No, a jak długo mają na to

CZYN I WYCZYN

Odnaczeni zostali w jednym dniu jednakowymi krzyżami zasługi. Jeden stary — drugi młody.

— To dzieło, za które dostałem odnaczenie — powiedział stary do młodego — kosztowało mnie trzydzieści lat umysłowego wysiłku. A pana?

— Trzy tygodnie intensywnego treningu na boisku.

— Ale za co pan dostał to wysokie odnaczenie?

— Za co? Za jeden, ale celny szprync nogą w piłkę i wpię... nie gola w bramkę przeciwnika.

— Mój Boże! Więc to jest ten pański czyn?

— Frajer! Nie chodzi o CZYN, tylko WYCZYN! Kupuje pan? — powtórzył młody, przykajac dumnie palcem w wysoki order zasługi.

KOSMOS I KATAR

Poznali i opanowali przestrzenie międzyplanetarne, a nie mogą poznać i opanować atmosfery własnego nosa. Znaleźli sposób na przewyższenie przyciągania ziemskiego, a nie mogą znaleźć środka przeciw katarowi. Jak im zaufać? Jak uwierzyć we wszechmoc nauki, która gruntownie poznała wszechświat i jego mechanizm, a jeszcze niedostatecznie zna człowieka i jego dolegliwości? Zajrzała we wnętrze atomu, a nie potrafi dotrzeć wzrokiem we wnętrze nowotworu?

Nie chce jechać na księżyc z katarrem, z rakiem, z puchliną wodną, z chaosem w sercu i duszy! Poznajcie uprzed i opanujcie bakterie, mikroby i anarchizujący nas i nasze życie społeczne mechanizm ciemnych instynktów, zanim opamięcie księżyc i planety! Inaczej, zapługawicie naszymi chorobami cały wszechświat! Cóż to za

ZYGMENT OŚCIEŃ

hańba dla nauki, za pomocą której łatwiej osiągnąć księżyc w eterze, niż bakcyla kataru we własnym nosie...

ZYSKI I STRATY

Jak wynika z doniesień prasy, zyski państwowe ze sprzedaży alkoholu są mniejsze od wydatków na rzecz ofiar alkoholizmu (ilość opuszczonych roboczo-godzin, szpitale, domy dla obłąkanych z powodu delirium tremens itp.). Czyli każdy z nas, jako podatnik, dokłada do piąjaka. Gdzie tu zdrowy sens?

CZY BOGACTWO SŁÓW ŚWIADCZY O BOGACTWIE MYŚLI I UCZUCY?

Sądzę, że nie. Kiedyś w podnieceniu wyrwało mi się takie zdanie: „Rozumiesz, czy nie rozumiesz, bo jak nie rozumiesz, to zrozumiesz — rozumiesz?”

Jakież tu bogactwo myśli, a zwłaszcza odcień uczuć! Ale jest też przykład na coś przeciwnego w znanym zadaniu maturalnym: „Mickiewicz jaki taki, a jeżeli nie taki, to jaki i dlaczego?”

SEKACZE SŁOWNE I BIEGUNKA

W „Trybunie Ludu” ukazał się niedawno ogromnie uczony artykuł o filmie, w którym (artykuł, nie filmie) o co drugim zdaniu powtarzało się słowo: e s k a p i z m (np. ten film jest e s

czekać scenarzyści kopcusiaka polskiej kinematografii — filmu animowanego? Jedna z piszących już zmarła.

* * *

W dotychczasowym dorobku filmu rysunkowego wybija się plastyczną oprawą Olgi Siemaszko „Historia o czyżkach”, zawodzi natomiast zupełnie na polu scenariusza „Zbuntowane rysunki” wg scenariusza Brzechwy i Nela mają ciekawy pomysł plastyczny wizualny, niestety, jest to niewypał. Zawodzi „Niebieski lisek” i „Ukarane łakomstwo”, w których pętają się jeszcze przeżytki disneyowskich kaczozów, kanciastych, spłaszczonych dziobów i świszających ucieczek. Zawodzi „Spółdzielnia leśna”, która na wzór przedwojennych reklamówek, toporną łopatologią agituje nas do zakładania spółdzielni. Niestety wiele filmów nas zawodzi. Złotliwi mówią, że wszystkie.

Ale nie „Koziołeczek” (scen. Brzechwa i Nel, reż. L. Marszałek, opr. plast. L. Stańko) wyróżniony na Festiwalu w Karłowach Varach w r. 1954 nie zawodzi. Po raz pierwszy mamy wykrzystaną bajkę ludową, a raczej piosenkę ludową „Miała babuśka kozia rogatego...” — temat własny, klimat swojski. Trzeba dodać, że realizatorom udało się na plaszczynie plastycznej, muzycznej i realizacyjnej ten swojski klimat utrzymać. I co jeszcze ważne: śmiejemy się — i dzieci, i my dorośli. Śmiejemy się szczerze, jesteśmy w pogodnym nastroju. To drugie wielkie zwycięstwo nad ponuractwem naszych ekranów.

Twórcą „Koziołeczka” L. Marszałek kończy realizację „Pani Twardowskiej” wg ballady Mickiewicza z projektami J. M. Szancera. Jest to hold kinematografii w roku Mickiewiczowskim — trzeba dodać: hold skromny.

Reżyser W. Nehrebecki specjalizuje się ostatnio w serii filmów „Filutkow” wg projektów Lengrena. Pomyśl słuszny, eksperyment — jak chodzą słuchy — udany, tylko czy nie nastąpiło tu odwrócenie zagadnienia? Czy filmiki o Filutku miały zapychać „dziury” w produkcji i stanowić niejako produkcję dodatkową, czy też są to czolowe pozycje planu produkcyjnego? W założeniu myślane o pierwszym, w praktyce wyszło to drugie.

Dlaczego? Dlaczego filmy o Filutku stały się „gwoździem” planu? Nie świadczy to chyba o tym, że teka scenariuszy jest gruba.

Jakie problemy może zresztą rozwiązywać prof. Filutek? Dodajmy do tego: Filutek z „Przekroju”. (Zalili się niedawno „Przekroju”, że nikt nie zwraca uwagi na to, iż Filutek narodził się na łamach „Przekroju”). Problem np., którym się Filutek w pierwszym swoim filmie zajmuje, streszcza się w hasło „Nie śmieć”. Na filmowe ujęcie tego hasła czekamy już blisko rok, a znając tempo kierowania krótkometrażowych filmów na ekrany przez Centralę Wynajmu Filmów — możemy być pewni, że po upływie następnego roku pojawi się pierwszy film o Filutku prawdopodobnie w kinie... w Belchatowie.

Czy Filutek rozwiązuje problem produkcji filmu rysunkowego. Chyba nie.

A tu tymczasem ząbkowanie się skończyło. Raczkanie się skończyło. Film rysunkowy zrodzony w Bielsku stoi już na nogach. Teraz dopiero zaczyna się jego życie.

Słońce dla Diogenesa!

RYSZARD BRUDZYŃSKI

Notatki

k a p i s t y c z n y, a tamten a n t y e s k a p i s t y c z n y. Szukałem we wszystkich wydanych ostatnio słownikach wyrazów obcych — nie ma takiego słowa. Ale jest u Ireny Merz, autorki tego wielce uczzonego artykułu, umieszczanego w piśmie, przeznaczonym jak to wynika z jego tytułu do czytania wśród szerokich mas, wśród ludu. S z k a p i z m to rozumiem. To właśnie takie artykuły, w których pojawia się słówko e s k a p i z m. Jeszcze gorzej ma się z innym autorem z „Życia Literackiego”, który znów wśród steku sekaczów słownych używa np. takiego wyrażenia: „p r y m a r n a r o d o m o n t a d a”. Wole już poczuć u swojską „ciepiotofikację” albo „złoróbstwo” z lubością powtarzane przez warszawski „Express Wieczorny”, bo przynajmniej wiadomo o co chodzi. Ale np. co robić z takim zdaniem, które wyszło chyba nie z głowy autora, lecz z jego „prymarnego rododomontady” (patrz „Mona Lisa contra Przybysz” w numerze 44 „Przeglądu Kulturalnego”), a r t y s t a b y ł n i e t y l k o o k r e t e m w o j e n n y m p r u j ą c y m ż y w i o ł, b y ł ś w i a d o m o ś c i ą r e f l e k s y j n ą. Potwierdzał się nie tylko jako technopoea, ale jako psychopoea, jako liryk, jako historyk, jako homo eroticus, jako mąż sprawiedliwy, jako kontemplator, jako podmiot poznającycy.

CHOPIN I DELACROIX

WŚRÓD licznych przyjaciół — wielbicieli Chopina, wspaniała postać Eugeniusza Delacroix, jednego z najznakomitszych malarzy europejskich — wysuwa się niewątpliwie na czoło. Zewnętrznie te dwie, tak indywidualne sylwetki artystów różniły się między sobą jaskrawo. Twarz Chopina była, chłopecka, pełna słodyczy i frywolności — oblicze zaś Delacroix oliwkowe, zdecydowanie męskie i nieprzystępne. Chopin odnosił się do ludzi z wdziękiem i pełną ufnością, natomiast stosunek francuskiego malarza do otoczenia był nacechowany skrajną powściągliwością i sceptycyzmem, niejednokrotnie nawet akcentami dzikości i pogardy.

Oczywiście, głównym i istotnym węzłem tej wzruszającej przyjaźni była muzyka, którą obaj artyści uwielbiali bezgranicznie. Jeśli chodzi o Chopina to sprawa pod tym względem jest jasna i zrozumiała. Ale skąd malarz francuski, oddany tajemkom barw i arkanom kompozycyjnym, mógł mieć tyle miłości, a jeszcze więcej zrozumienia dla skomplikowanych zagadnień muzycznych? Bo niewątpliwie wiedza muzyczna Delacroix była imponująca.

Pod tym względem zarówno jego synny „Dziennik”, jak i liczne korespondencje posiadają mnóstwo frajujących dowodów i przykładów. Weźmy dla ilustracji mało znany ustęp „Dziennika”, w którym Delacroix nakreślił z dużą trafnością i finezją horoskop przyszłej sławy Chopina. Otóż według opinii francuskiego malarza, przyszła sława Ariela tonów nie będzie się opierała na tak powierzchownym traktowaniu, jak to było za jego czasów. Przyszli historycy muzyki potrafią ocenić Chopina, jako geniusza melodii, który tak szczęśliwie i z taką inwencją odkrył nowe możliwości harmonii. Zdobyć jego na tym polu będą niewątpliwie o wiele więcej cenione, w przeciwstawieniu do ówczesnych utworów operowych, stawianych podówczas na najwyższym szczeblu w hierarchii muzycznej. I właśnie według Delacroix to ograniczenie się Chopina wyłącznie do fortepianu będzie fundamentem jego sławy i znaczenia. Nie komu innemu, tylko Chopinowi — notuje dalej Delacroix — zawdzięczamy tę rozległość akordów, tę fałsistość chromatyczną, tę progresję w harmonii, wybijające swe piętno powagi nawet w utworach lekkich i niemal frywolnych! I jak w arcydziełach La Fontaine'a zawierających tematy tak znane, a tytuły tak skromne, widać wszędzie głęboką melancholię, finezję i nadzwyczajną wnikliwość, tak samo rzecz się ma w Etiudach i Preludiach Chopina. Ktoś inny — zauważa Delacroix — posiadając tak wysokie uzdolnienia na polu melodii i harmoniki jak Chopin, byłby niewątpliwie uległ pokusom reprezentowania przez pieśnią smyczków, omdlewaniu fletów i ogłuszającym dźwiękom. A jednak Chopin trzymający swą ambicję zdale od zgiełku orkiestry, zadowolił się pełnym wyrażeniem swojej myśli twórczej na fortepianie. Nigdy bowiem nie pretendował do efektów operowych. I tu trzeba podkreślić — konkluduje Delacroix — że dotychczas nie przemysłano na serio wartości tego delikatnego pędzla, jakim są komponowane utwory Chopina, lecz przeciwnie uważa się za kompozytorów godnych tej nazwy tylko tych, którzy pozostawili po sobie co najmniej z pół tuzina oper, oratoriów czy symfonii. (Por. „Journal” t. II, str. 47 i 54).

Oto jeden z kapitalnych przykładów wnikliwej orientacji francuskiego artysty w odniesieniu do muzyki w ogóle, w szczególności zaś do pianistyki chopinowskiej.

Wystarczy powołać się na głośnie swego czasu analizy krytyczne Breithaupta, Leichenritza, Chybińskiego, Jachimeckiego, Szymanowskiego i innych, aby ocenić bystrość muzykologiczną francuskiego malarza. Ale bo też i Delacroix już od wczesnej młodości wykazywał niepospolite uzdolnienia muzyczne. Obdarzony nadzwyczajnym słuchem od dzieciństwa, Delacroix odawał się z namietnością grze na skrzypcach. Pierwszy, który się poznał na tych zdolnościach artysty był stary organista z katedry w Bordeaux, dawny przyjaciel Mozarta i nauczyciel siostry Delacroix. George Sand pisze w jednym z listów do Silvestra, że Delacroix odczuwał i rozumiał muzykę w stopniu tak wysokim, że niewątpliwie byłby został wielkim twórcą muzycznym, gdyby się nie poświęcił karierze malarskiej.

Ale nie tylko muzyka i malarstwo były domeną jego wysokiego znawstwa. Niemniej i w stosunku do utworów literackich Delacroix odznaczał się niezwykłym darem krytycznym i analitycznym. Gdy Balzac wydał powieść p. n. „Ludwik Lambert” i ofiarował to dzieło znakomitemu artyście, Delacroix w podziękowanie wysłał obszerny list zawierający wnikliwą analizę krytyczną.

* * *

Pierwsze ślady spotkania Chopina z Delacroix odkrywamy w relacjach Wodziańskiego. Otóż według tych wspomnień, jeszcze przed 1836 r., gdy Chopin mieszkał na Chaussee d'Antin i dawał słynne wieczory improwizacyjne, znajdujemy wśród zebranych gości, obok Liszta, Heinego, Berliozza, Meyerbeera — również i Eugeniusza Delacroix.

W dalszym ciągu stosunki między artystami zacieśniają się, gdy w lipcu 1838 r. Delacroix w swojej pracowni przy ul. Visconti przystępuje do portretowania Chopina i George Sand.

Siedząc chronologicznie dalszy bieg tej wzruszającej przyjaźni, znajdujemy obu artystów latem 1842 r. w Nohant. Delacroix pisze wówczas do jednego ze swoich przyjaciół te słowa: „Spełdziłem jakiś czas sam na sam z Chopinem, którego bardzo kocham, a który jest człowiekiem rzadkiej dystynkcji; to najprawdziwszy artysta, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jest jednym z tych niewielu, których można czczyć i podziwiać”.

A równocześnie Chopin, mniej więcej w tym samym czasie pisze o Delacroix z Nohant do Franchomme'a: „Jest to jeden z najcudowniejszych artystów! Przeżyłem z nim zachwycające godziny. Uwielbiał on Mozarta, umie wszystkie jego opery na pamięć”.

W sierpniu 1846 r. Delacroix bawi w Nohant wraz z Chopinem, który mu „bosko” odtwarza Beethovena. W ogóle lato w Nohant tegoż roku upływa pod znakiem twórczości artystycznej. Liszt i Chopin dają kilkakrotnie koncerty, głośna śpiewaczka, Viardot — Garcia czaruje pięknym głosem, a Delacroix pod wpływem muzyki chopinowskiej, maluje swoje pierwsze kwiaty.

Chopin umiera dnia 17 października 1849 r. Delacroix przebywa wówczas w ulubionej miejscowości, Valmont. Gdy 20 października dobiegła go wiadomość o śmierci najdroższego przyjaciela, notuje w swoim „Dzienniku”

słowa następujące: „Po śniadaniu odwiedziłem się o śmierci biednego Chopina. Dziwna rzecz, z rana, jeszcze przed wstaniem, byłem uderzony tą myślą. Jakaś strata! Nikczemne mierzoty zajmują miejsce po zginięciu tej szlachetnej duszy”.

W cztery dni później Delacroix przyjeżdża do Paryża, by wziąć udział w pogrzebie, który, jak wiadomo, odbył się 29 października. Po wstrząsających uroczystościach pogrzebowych, Delacroix wraca do domu w najcięższej depresji i przy świetle lampy naftowej szkicuje na papierze drżącą ręką maskę Dantego, której, nadaje profil zmarłego przyjaciela, po czym zaczyna kreślić słowa: cher Chopin... lecz nagle szloch zalewa mu oczy łzami i przerywa szkic rysunek.

W tym niedokończonym szkicu złożył Delacroix Chopinowi najwyższy hołd, na jaki się artysta w ogóle może zdobyć. Zrozumiemy to głębiej, gdy przypomnimy sobie stosunek Delacroix do autora „Boskiej Komedii”. Dante dla Delacroix był największym poetą („signor dell' altissimo canto”) a jego „Boską komedię” uważał za najwyższy wyraz ludzkiej tragedii i znał go niemal na pamięć. Toteż nie dziwi, że słynny obraz Delacroix p. n. „Barka Dantego”, wystawiony w 1822 r. i stanowiący kamień węgielny romantyzmu w malarstwie francuskim, jest apoteozą Dantego.

Po śmierci Chopina jeszcze bardziej precyzyjnie wnika Delacroix w muzykę swego genialnego przyjaciela. Karty „Dziennika”, szczególnie z lat 1850 — 1860 są pełne najsłodszych i najbystrejszych określeń twórczości chopinowskiej. Sam zaś Delacroix przy każdej nadarzającej się sposobności słucha muzyki Fryderyka Chopina. I tak np. po wizycie u ks. Marceliny Czartoryskiej, która mu stale otwierała utwory chopinowskie, notuje w swoim „Dzienniku”: „Czy można znaleźć coś doskonalszego? Chopin jest bardziej podobny do Mozarta, niż ktokolwiek inny. Jak tamten, ma on dar samorodnych motywów, które — zdawałoby się, każdy może odnaleźć”.

Szczególnie karty „Dziennika” z 1851 i 1852 r. wprost roją się od kapitalnych określeń muzyki chopinowskiej. Zacytujmy przynajmniej fragmenty godne pióra najwytrawniejszych muzykologów: „podejmując się inteligentnej analizy utworów Chopina — pisze Delacroix — trudno nie znaleźć w nich piękności pierwszorzędnych o ekspresji zupełnie nowej i budowie harmonii zarówno oryginalnej jak skończonoj. W jego dziełach śmiałość zawsze jest usprawiedliwiona, bogactwo, przesada, nawet, nie wyklucza jasności, osobliwość nie wyraża się w barokową dziwaczność, egzaltacja nie jest chaotyczna, a zbyt w ornamentach nie psuje elegancji linii zasadniczych. Najlepsze dzieła obfitują w kombinacje, o których można powiedzieć, że tworzą epokę w kształtowaniu stylu muzycznego. Śmiałość, skrajność, pociągające, kryją one swą głębię pod wdziękiem tak niewymownym, a technikę pod urokiem tak niewystawionym, że trzeba pewnego wysiłku, żeby się uwolnić spod ich czaru pociągającego, i móc je sądzić na zimno z punktu widzenia ich wartości teoretycznej; wartość tę odczuwa się już, ale pozna się z czasem jeszcze lepiej, kiedy badać się będzie ściśle zasługi, oddane sztuce w epokę, w której żył Chopin”.

ROMAN ZREBOWICZ

ŻYCIE I WEGETACJA

Człowiek właściwie tyle tylko żyje, ile świadomie wie, że żyje. Bo czyż poza tym różni się w zasadzie od rośliny? I czyż w takim razie mówi o sobie, że urodził się, na przykład, w roku 1900? Przecież właściwie urodził się dopiero wtedy, kiedy świadomie spostrzegł, zdał sobie sprawę z tego, że żyje, i dopiero od tego momentu należałoby liczyć istotne jego życie. Ale co zrobić ze stanami snu, marzenia, halucynacji, zwiędzeń. Czy zaliczyć je do życia zwielokrotnionego czy zredukowanego, przyspieszonego, czy zwolnionego w tempie, czy też wyłączyć te stany poza nawias życia, za które człowiek jest przecież, a przynajmniej powinien, być odpowiedzialny? Przecież jednak sen poszerza czasem zakres naszej świadomości, wzbogaca doznania, czyli wzmacnia poczucie naszego istnienia? Ot, w czym wielka trudność przy opisie życia własnego! A iluż ludzi tylko z pozoru żyje świadomie. Są przytomni, ale nieobecni, albo obecni, ale nieprzytomni — dotyczy to niekonięcznie tylko kobiet. Dlatego, mam nadzieję odpowiedzieć na pytanie, ile mam lat, a zwłaszcza ile ktoś z moich dobrze znanych ma lat, zawsze jestem w tropie. Bo urodził się niby, dajmy na to, w 1900 roku, ale ile właściwie ma lat — dziesięć? piętnaście? A może tylko pięć? I którzy właściwie z nich są szczęśliwsi — ci, którzy więcej, czy też ci, którzy mniej mają lat? I czymże się właściwie te urodzone w 1900 roku pięćdziesiątka różni od roślin, na przykład od wierzb zasadzonych w tym samym roku?

ZYGMUNT OŚCIEŃ

Korespondencja

Łęczyckie jubileusze

Cała Łęczyca zna swego Drabika i Zelwera w jednej osobie, majstra stolarskiego — Antoniego Kurasiańskiego. Ten nestor łęczyckiej sceny amatorskiej, chodzący historia rzemieślniczego teatru, pochylający się od lat sześćdziesięciu nad warsztatem stolarskim, obchodzi w tym roku pięćdziesiątą rocznicę swej pracy w amatorskim teatrze. Robił w roku 1905 pierwszą dekorację do wystawianych w zrzeczeniu Ochotniczej Straży Pożarnej w Łęczycu „Flisaków”. Anceja, grał w tej sztuce jedną z ważniejszych ról. Grał następnie w „Wielkim świętym Andrzeju”. W mieszczańskim środowisku z tamych lat był to reprezentacyjny bez meła repertuar.



Antoni Kurasiański

Siwy, ocieślał już dziś, dziadek Antonim pomle, jak biegł po scenie, z jakim zapamiętaniem słuchał uwag reżysera, starego Lesera — z zawodu nauczyciela, a przez pewien czas przymusowego aktywnika carskiego.

Zna też Łęczyca zabiegane zawsze działo Gumowskiego, który pracuje kilkadziesiąt lat w składzie węgla. To też jubilat. Zna majstra malarzkiego z ZPB Rose. Niemal razem zaczęli. Teatr mieścił się w dawnej remizie strażackiej, w dzisiejszym kinie „Olimpia”. Był to zespół robotniczo-ziemiejski. Uznajemy mieli swój.

Dziadek Antoni nie wszystko już dobrze pamięta. Gdzieby zresztą można było zapamiętać setki ról i ról, setki tytułów sztuk i nazwisk autorów, wreszcie setki wykonanych dekoracji.

W roku 1916 wystawiał już we własnej reżyserii „Kosciuszko pod Racławicami”. W widowisku brało udział 60 osób. Wszystkie podłęczyskie kosy posyły w ruch. Do zespołu dołączyli wielu parobków z Topoli, Tumy i Krystanówka. Wybrać sobie, że taki zespół zmieścił się na maleńkiej scenie. Dziś skądź się kilkunastuosobowe zespoły „Artosu” czy ścigające tu czasem zespoły amatorskie jak i male role. Wtedy wszystko „grało”. To były jedne okazje, kiedy można było uwierzyć w swoją godność osobistą, godność członka pracy. Najważniejsza była nasza duma z faktu, że próci ludzie też coś potrafili stworzyć, potrafili oddziaływać na wyobraźnię środowiska, ba, potrafili nie raz lepiej grać niż zamożne zespoły amatorskie łęczyckie „Śmieciaki”.

Dużym sukcesem cieszyła się w Łęczycu „Chota z wsią” Ignacego Krasińskiego i „Czartowska ława” — Syrokomli. Kurasiański grał w tej ostatniej Kazimierza. W „Skalimierzankach” występował obok niego Gumowski i Rose. „Nadwornym” charakterystorem był fryzjer From — znać go, ten z Rymlu.

Z pierwszych lat po wojnie pamiętam działo Kurasiańskiego w roli Boruty, w obrazku miejscowego poety Mieczysława Cieniaka. Obrazek ten, napisany przez autora w obozie — Mathausen, wystawiony był w ramach wzruszającego wieczoru autorskiego Cieniaka w roku 1945. Grał potem Kurasiański Sergiusza Żeleznowa w „Wassie Żeleznym” Gorkiego. Grał bardzo przekonująco.

Kiedy po rocznej nieobecności wrócił niedawno do Łęczyca, zastąpił tu afisz „Klubu kawalerów” Baluckiego. Był to afisz „trup” teatralnej Kurasiańskiego. Zespół „daczepiono” do Ligi Kobiet. „Klub kawalerów” odwiedził wiele wsi i miasteczek ziem łęczyckiej. W chwili, kiedy piszę te słowa do redakcji „Kroniki” zespół jubilała przygotowuje nową premierę. Jak mało wiemy o piosenkach amatorskiego ruchu teatralnego na prowincji A to jest przecież godny szerszego oparcia rozdział z dziejów walki o kulturę. Walki, którą prowadził bezinteresownie prawdziwy miłośnik teatru.

WŁODZIMIERZ PIOTROWSKI

Do

Redakcji

„Kroniki”

W nr. 14 „Kronika” zamieściła paszkwil na łódzki ośrodek plastyczny pt. „Cudze chwale — swoje zwalczacie”. Z sensu artykułu wynika, że autor powodowany chęcią autoreklamy nadużywa pamięci Władysława Strzemińskiego, wyrządzając tym samym jedynie krzywdę dobremu imieniu zmarłego.

Różne zarzuty, a w szczególności zarzut „brudnych interesów” skierowany pod adresem nieokreślonych bliżej członków środowiska, przez brak sprzeciwiania gozda w honor łódzkiego okręgu Z.P.A.P.

Przykro nam, że tyle miejsca poświęcamy tej sprawie w liście do pisma społeczno-kulturalnego jakim jest „Kronika”, lecz umieszczenie paszkwilu bez komentarza Redakcji, zanębiało nas poważnie, że nim będzie sformułowana definicja chuligaństwa polskiego, społeczno — kulturalnego „Kronika” szeroko otworzy łamy swego pisma, dla „Obrazów błotem malowanych” jak nazwał Express Łódzki omawiany artykuł.

Polityki kulturalnej „Kroniki” nie usprawiedliwia zamieszczenie artykułu w dziale „Opinia i fakty”.

Ponieważ opinia publiczna została wprowadzona w błąd, żądamy od Redakcji wyjaśnień, które mogłyby dać pełną satysfakcję naszym kolegom plastykom i całemu Okręgowi.

ZARZĄD ZWIĄZKU POLSKICH ARTYSTÓW PLASTYKÓW

Od Redakcji

Kim był Włodzimierz Strzemiński? Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie i na pewno niejedną historię sztuki dobrze się nad tym nabieśli. Nam chodzi o zestawienie takich faktów: Strzemiński działał w Łodzi od lat; w dwudziestolecie otrzymał nagrodę plastyczną miasta Łodzi; był wtedy zwalczany za propagowanie sztuki komunistycznej (można by odnieść w prasie obraz zajął i demonstracji wymierzonych przeciwko „bolsewizmowi”, jakie towarzyszyły wstąpieniu tej nagrody); zorganizował w Łodzi jedną w Polsce galerię sztuki nowoczesnej, inspirował nowatorski i awangardowy ruch w sztuce, pisał, budował teorie i wychowywał ludzi. Po wojnie wstąpił do partii, rozwinął dużą działalność w łódzkiej PWSSP; skupił wokół siebie grono ludzi, którym wskazywał drogę poszukiwań; sam tworzył i malował; kontaktował się z francuskimi komunistami i nowatorami w sztuce; tworzył środowisko dyskusji i pracy eksperymentalnej.

Czy był człowiekiem łatwym w życiu społecznym i osobistym? Na pewno nie. Czy wszystkie jego posunięcia były słuszne i dobre? Na pewno nie. Ale był człowiekiem niezwyklej energii twórczej, szerokich horyzontów umysłowych, o wysokim zrozumieniu dla teorii sztuki, teoretykiem i malarzem, a przy tym człowiekiem o imponującej żywotności i pasji życia, która pozwalała mu działać za kilka osób.

Strzemiński był fanatykiem i ascetą. Na pewno. Ale był też i uosobieniem energii nie znającej przeszkód. Był członkiem partii i za wzorem towarzyszy francuskich, jak Matisse i Picasso, chciał słyszeć sprawę socjalizmu swoją wielką wiedzą i talentem.

Epilog znany. Usunięto go z PWSSP, pozbawiono możliwości zarobku. Inwalidę pozbawiono środków do życia, artystę — możliwości tworzenia, wychowawcę odsunięto od młodzieży, teoretyka od możliwości wykładania się. Nie rozważamy w tej chwili ani teorii, ani sztuki, ani szkoły Strzemińskiego. O nich wypowie się historia sztuki. Lecz chcemy zrehabilitować człowieka i wyjaśnić, jak możliwa była ta cała haniebna historia zaszczucia Strzemińskiego i wpędzenia go do grobu przez nędzę i gnuzłację. Chcemy wyjaśnić, jak to było. Ob. Leopold Beck na łamach „Expressu Łódzkiego” prosi o nazwiska i fakty. Na pewno jedno i drugie zostaną ustalone.

Kronika muzyczna

ARTUR HONEGGER NIE ŻYJE

* * *



Artur Honegger i Jerzy Tzupine

W ub. miesiącu zmarł w Paryżu jeden z najwybitniejszych współczesnych kompozytorów Artur Honegger (ur. 1892). Szwajcar z pochodzenia, był nierozdzielnie związany z francuską kulturą muzyczną, z tzw. Szkołą Szwajcarską, powstałą w ostatnich latach pierwszej wojny światowej, a złożoną z kompozytorów o różnych indywidualnościach twórczych, którzy wspólnie walczyli z tradycjami romantyzmu m.in. poprzez powrót do tradycji klasycznych.

Powstańcie takich dzieł Honeggera jak „Pacyfic 231”, oratorium „Król Dawid”, „Joanna D'Arc na stosie” (w którym wprowadza głos ludzi do orkiestry), czy znacznie późniejsza „Symfonia Liturgiczna” oraz „Symfonia Nr. 4”, „Delicje Basileusis” stanowiło istotne wydarzenie w historii muzyki współczesnej.

Dzieła Honeggera zaczęły pojawiać się w b. roku w Polsce w programach koncertów symfonicznych. Również Polskie Radio nadało ostatnio z nagrań magnetofonowych szereg utworów zmarłego kompozytora, m.in. — oratorium „Król Dawid”.

Koła naukowe przy PWSM w Łodzi organizują stałe cotygodniowe audycje muzyczne obejmujące prelekcje, prześłuchania płyt, względnie „żywe” produkcje muzyczne oraz dyskusje. Odbędzie się one co środę o godz. 18.30 w auli PWSM w Łodzi. Al. 1 Maja 6. Wstęp dla wszystkich miłośników muzyki wolny!

W bieżącym roku akademickim przewiduje się urządzenie kilku cykli audycji: 1. Poznajmy najnowszą literaturę muzyczną (w programie m. in. Prokofiew, koncert fortepianowy Des-dur, I i XX symfonia Szostakowicza, Chaczaturian, II symfonia i koncert skrzypcowy, D. Milhaud, Suita Prowansalska, F. Martin, koncert na fortepian, klaviesyn i harfe z towarzyszeniem orkiestry) itd. 2) Muzyka i teatr (Muzyka do dramatów Szekspira, Goethego, Brechta). 3) Twórczość Mozarta (z okazji dwusetnej rocznicy urodzin). 4) Słynni artyści i wykonawcy oraz 5) Poznajmy muzykę kamerálną.

* * *

Niezwykle szeroki jest wachlarz różnych imprez muzycznych, organizowanych w sali Filharmonii, najbardziej reprezentatywnej i właściwie jedynej większej sali koncertowej w Łodzi. Oprócz stylowych koncertów symfonicznych, recitali poszczególnych solistów, czy rzadkich, niestety, koncertów kameralnych, odbywają się w niej popisy szkół muzycznych, koncerty dla młodzieży, studentów oraz dla świata pracy, a także cykl specjalnych koncertów popularnych z prelekcją, organizowanych przez dyrekcję Filharmonii pod hasłem: „Od piosenki do symfonii”. Filharmonia udziela też swego programu instytucjom muzycznym w celu organizowania różnych koncertów rozrywkowych o lżejszym charakterze jak np. „Przy sobocie po robotach”. W sali Filharmonii gościł również ostatnio warszawski kabaret artystyczny „Szpak”, przyjmowany niezwykle serdecznie przez łódzką publiczność, który w muzycznych punktach swojego programu przypominał niektóre dawne, popularne przeboje z okresu międzywojennego np. „Gdy Gold razem z Petersburgiem gra”, „Dymek z papierosa”, czy też piosenkę z repertuaru Mariana Rentgena.

B. NAWROCKI

KRONIKA 16

11

naiwnego

A właściwie dlaczego nie jako przymiot irytujący albo przedmiot w omiutujący — jakby powiedział Ludwik Flaszyn, odkrywca i kodyfikator tego rodzaju procesów w literaturze pięknej? A co majorsze, to to, że wszyscy ci panowie i paniusie piszą dla ludu, ludowi, z ludem, pod lud.

WIEDZA, ROZUM I GŁUPOTA

Wiedza i rozum nie stoją w prostym do siebie stosunku. Z arsenatu wiedzy korzysta zarówno rozum, jak i głupota. O ile w pierwszym wypadku przynosi to korzyść światu, o tyle w drugim — co najmniej uprzykrza nam życie. Znamy jednak anegdotę o pewnym burmistrzu, który zapytany przez Napoleona, dlaczego na jego powitanie nie oddano salwy honorowej, odpowiedział, że trzy były tego powody.

— Po pierwsze: nie było armat. Po drugie...

— Stop! — przerwał Napoleon — wystarczy...

Tymczasem na wszelkich naszych zebraniach, nie wyłączając partyjnych, każdy prawie przemawiający uważa za konieczne mówić podobnie jak ów burmistrz, przytaczając co najmniej kilkanaście powodów, dla których armata nie strzelała. Choć wystarczyłoby tylko jeden, że armaty nie było.

Temu przemawiającemu nie chodzi

AUTORYTETY

Dla psa najwyżej w hierarchii ludzkiej stoi kucharz, dla małpy dozorca zoologu, dla świni chlewnik. A dla pana? Dla pani? Dla ciebie, który się mienisz człowiekiem kulturalnym? Twoje autorytety świadczą o tobie!

PRZEKŁUWACIE NADĘTE PĘCHERZE!

Znany był z uprzykrzonej zarozumiałości i zbyt tepej pewności siebie: — Jesteś obciążony dziedzicznie.

Spojrzał na mnie piorunująco i rzucił prze żęby:

— Czym?

— Geniuszem.

Natychmiast rozpromieniony zapytał:

— Po kim?

— Po księdzu Bace.

Wściekły bez pożegnania odszedł i odąd nie podaje mi ręki.

Na jarmarku powieści naukowych

W e wszystkich krajach świata kwitła zawsze i dziś prosperująca literatura zwana jarmarkową. Literatura jarmarkowa, to dłuższa lub krótsza opowieść bez najmniejszej pretensji do artystycznego poziomu, a służąca jedynie zaspokojeniu czysto rozrywkowych potrzeb. Akcja wartka i żywa, niezwykłe środowisko i niezwykle zdarzenia, wszystko to sprawiło, że ten gatunek „twórczości” miał wielkie powodzenie. Z czasem, w miarę jak czytelnictwo rosło i zwiększały się wymagania, powstały nowe gatunki produkcji w zasadzie tej samej, ale wyposażonej w pretensje do „czegoś lepszego”.

Dla osób sentymentalnych zjawiały się romanse. Nie było w nich co prawda rzeczywistej miłości, ale o miłości mówiono się bez końca. Zwłaszcza tej „w wyższych sferach”. Klasyk jest w klasie, a w klasie jest w klasie. Klasyk jest w klasie, a w klasie jest w klasie. Klasyk jest w klasie, a w klasie jest w klasie.

Postęp techniki wydawniczej sprawił, że literatura jarmarkowa — lub jeśli kto chce: rozrywkowa — zmieniła się w wielki przemysł. Produkcja przeszła w masową, a dzięki niskim cenom zalewała rynek. Na czoło w tym okresie wysunęła się fabrykacja tak zwanych kryminałów typu sławnego Wallace'a. Niedostępne rekordy bily w tej dziedzinie Stany Zjednoczone.

Od wojny jednak w kąt poszły kryminały, a na plan pierwszy wysunęła się powieść „naukowa”. Z naukową niewiele ma oczywiście wspólnego. Wśród bohaterów nie znajdziemy uczonych, przedmiotem akcji nie jest poznanie praw rządzących przyrodą. Sami autorzy mało znają te prawa, wiedzą tylko coś nie o ich stosowaniu. Opisują statki pędzące w międzygwiazdowej przestrzeni, maszyny czasu, roboty, moździerze elektroniczne i atomowe bomby. Wiedzą, jaka zbrodnia, to wyłącznie ta, która służy powiększeniu zysków, nie zaś rozwojowi postępu i wzrostowi dobrobytu człowieka. Książki tych autorów nie nawiązują do rzeczywistości i życia. Precyzyjnie — są fantazja, cięstość bardzo dowolna.

A jednak zbyt mają olbrzymi, a tym samym poważny wpływ społeczny. Stąd ich znaczenie, bez porównania większe niż wartości „Fantazje naukowej” czy „naukowej powieści”. Czyta w Ameryce każdy, młodzież i dorośli. Rozchodzi się w formie książek, broszur, tygodniowych wydawnictw, zbiorów i komiksów. Drukują je gazety, nadają wszystkie programy radiowe i telewizyjne. Z grubszą biorąc powieści te dzielą się na trzy zasadnicze rodzaje: przygodę, okropności i romansów szpiegowskich.

Przygody tym tylko się różnią od dawniejszych podróży po niezbadanych obszarach Ziemi, że ich akcja rozgrywa się poza naszą planetą, czy nawet poza układem słonecznym. Zamiast Himalajów mamy tu góry Saturna, lub Marsa, zamiast lodów Polarnych — wyspy krateru Księżyca. Puszczę nad Amazonką, dżunglę afrykańską i zapomniane światy — w sercu tajemniczego Laosu! Zastępują tu równie tajemnicze, a wzorowane na ziemskich światynach, puszczę i dżunglę w „nowych nieznanach światach”. A zamiast Indian, Murzynów i Malajów spotykamy dziwaczne „cywilizacje” i dziwnych mieszkańców dalekich planet i gwiazd.

„Okropności” tym różnią się od innych przygód, że dzieją się na Ziemi. Ale dawniejsze widma, duchy i wampiry przychodzą nie z jakichś bliżej nieokreślonych „światów” lecz właśnie z kosmicznych przestrzeni. A zjawiają się z reguły po to, by siać na Ziemi zniszczenie, śmierć. Odmiana „okropności” jest wizja „społoczeństwa przyszłości”. Wszystko jest zmechanizowane, zarówno praca, jak miłość i pisanie literatury. Nuda nie ma granic. A niedowzmaczne aluzje dojrzałości, że tak będzie wyglądał socjalizm. Cel tej propagandy jest aż nadto przejrzysty.

Wreszcie historie szpiegowskie. Dzieją się one zwykle na tle nadciągającej wojny planet, czy gwiazd. Zawsze z jednej strony mamy społeczeństwo o wysokiej kulturze, której bronią ludzie niesłychanie szlachetni. A wróg jest zawsze społeczeństwem potworów, które dyktują na szczęście tamtych. Toteż teploty potwory jest wprost obowiązkowe i nie wolno wtedy zbyt grymasić w środkach. Wszystko jest dozwolone w imię dobra „wyższej cywilizacji”. Te formuły również łatwo rozszyfrować: „wyższa cywilizacja” to, naturalnie, „amerykański styl życia”.

Klasyk jest przykładem takiej opowieści jest bardzo wzięty utwór Asimowa „W Dobrej Sprawie”. Rzecz dzieje się w roku 3000. Ziemia rządzi Koordynator, który omawia zasady współżycia z delegacją dalekich światów, gdzie mieszkają „Diaboli”. Diaboli nie są właściwie agresywni, ale są „inni”. Koordynator postanawia ich zniszczyć. W czasie rokowań organizuje najazd. A kiedy świat Diaboli zostaje podbity, Koordynator ogłasza: „Teraz współżycie i jedność wszechświata stały się możliwe!”

Wszystkie te powieści mają dwie bardzo znamienne cechy: niewiarę w człowieka i w postępowy charakter wiedzy. W każdym niemal utworze spotykamy się z wynalazkiem, nad którym człowiek traci panowanie, albo też z potworami, w których ręce trafiała przetrwała, zobojętna broń. Nigdzie też nie znajdujemy zwykłych, normalnych ludzi. Wszystkim rządzi niewielka, ale „twórcza” mniejszość. Reszta zaś ludzkości to tylko kółka w maszynie.

Ostatnio jednak zaobserwować można w dziedzinie „naukowych” powieści pewną tendencję nową. Jest nią zainteresowanie dalekiej przyszłości. Na razie takich utworów jest co prawda mało, ale wszystkie przemawiają za tym, że są to pierwowzory bardziej racjonalnego zwrotu. Eksploracja przestrzeni, to fakt, że to utwór, który przetrwał, z reguły posiada satyrę. Celuje w niej jeden z najpopularniejszych autorów „fantazji naukowych”, Ray Bradbury.

Do najświeższych książek tego pisarza należy zbiór opowiadań „Złote Jabłko Słońca” oraz dwie powieści: „Kroniki Marsa” i „451 Stopni Fahrenheita”. Omawiamy pokrótce teach ostatnich. „Kroniki Marsa” to dzieło najczystsze i kolonizacji. Mieszkańcy Ziemi pokonują Marsjan, którzy wyróżniają się wysoką kulturą. Ludność Marsa gina wywołana przez różne choroby, jakie tam zanieśli ziemianie. Kolonizatorzy, uradowani takim „zbiegiem okoliczności”, przystępują wówczas już bez żadnych przeszkód do eksploatacji bogactw naturalnych planety. Zaprowadzają przy tym swe własne obyczaje, które dziwnie przypominają amerykański styl życia. Lecz na Ziemi wybuchła wojna. Kolonizatorzy wracają, napieć walki rośnie, a Ziemia rozpada się na szczątki.

„451 Stopni Fahrenheita” ma inną zupełnie tematykę. W pewnym kraju — a łatwo domyślić się w jakim — rządzi na przemian dwie partie. Książki tam nie istnieją, gdyż na mocy specjalnej ustawy przestano je drukować, a wszelkie zapasy spalono. Książki zastępuje bez reszty telewizja, w szkołach, w domu, wszędzie. Domy są ogniotwórcze, pożary się nie zdarzają, więc straż pożarna ma teraz zajęcie. Ściga „wywrotowców”, którzy schowali niektóre książki i pali każde drukowane słowo. Do pomocy w tym śledztwie służą specjalne maszyny, rodzaj mechanicznych psów policyjnych. Ale pewien strażnik zajął niebacznie do analizej książki. Zaczął czytać... przepaść. Zarazony „książkowym duchem” nabiera wstrętu do swojej pracy. Cudem unikną schwymania przez mechaniczne psy i dociera do tajemniczych kryjówek, gdzie schroniła się część dawnych uczonych. Uczni przechowywać zakazane druki. Kryjówką mieści się w skalach, głęboko pod ziemią. Jej mieszkańcy żyją odcięci od świata. Tymczasem na powierzchni globu wybuchła wojna atomowa. Wszyscy giną, z wyjątkiem małej „wywrotowej” grupki, schowanej w bezpiecznej od bomb jaskini. Cudem ocaleni wychodzą na światło dnia i rozwój kultury zaczyna się od początku.

A mieszkańcy Stanów Zjednoczonych zadają sobie pytanie, czy taki ma być cały sens ich życia.

JULIAN STAWIŃSKI

Wehikuł czasu

Wspomnienie

N IE wiem, czy pamiętacie „trikolę”, albo „hulajnogę”. Ten benzynowy pojazd na trzech kółkach, który w pierwszych latach po wojnie przebiegał przez ulice naszych miast z szybkością ośmiu kilometrów na godzinę i psuł się z prędkością odwrotnie proporcjonalną do pośpiechu. Jeśli nie pamiętacie, to już zapomnieliście wszystko: spalone domy, bezkresne stepy ugorów na Ziemach Odzyskanych, zwałone mosty, powalonych ludzi, wraki, zryte kulami armatnimi, drogi, poprute lokomotywy.

Pewnego dnia wyruszyliśmy taką „hulajnogą” w podróż. Do Pławowic, sławnej wsi Ludwika Morzyńskiego, w której w czasie wojny pożywały w pocie czoła chleb ze szynki. Piechal, Arnold Szyfman, Staff, Swiniarski, potem Szaniawski, a kilka razy i ja; czyli inni.

Wyruszyliśmy we trójkę: redaktor „Odrodzenia”, Kuryluk, który miał namówić u Staffa „Wybór Poezji”; Julian Przyboś, który miał namówić sędziwego poetę do dokonania wyboru; i ja, który miałem być świadkiem zgody.

Byliśmy pełni entuzjazmu. Przepojeni wzruszeniami, jakie wzniesia śmiejące się, niedzielne słońce, jesienny poszum drzew, odlot ptaków, bukoliczny poryk krow — upłynęliśmy w przestrzeń jak na skrzydłach.

I oto, a było to na trzecim kilometry naszej trasy, wehikuł drgnął. Nie przejeżdżaliśmy się tym drgnięciem.

Dopiero, gdy samochód wierzgnął, gdy padliśmy sobie w objęcia i gdy z budki szofera wynurzyło się pięć palców z rozpaczyliwym krzykiem: — Zaczyna się bal, saparmuka jego bycia! — przejeżdżaliśmy się.

Gdy szofer wyskoczył z budki, podniósł oboma rękami czapkę i poczęł przeklinać Hitlera, imperializm i co mu ślina na język przyniosła, ogarnął nas niepokój: rozpoczął się bal defektów, którego mieliśmy być ofiarami.

Doświadczenia umotywowwały nasz niepokój. Składały się one z pięciu tysięcy straszliwych szoferskich przekleństw, co najmniej jeden milionów śrubek, z których jeden milion nie pasował, i pół tysiąca pisków lewara.



— Nie przeszkadzajmy, on ma natchnienie!

Rys. K. Baraniecki

JERZY ŚLIZIŃSKI

Wrażenia z Chin

J ESTEŚMY w Chinach gośćmi Armii Ludowej — a chińska gościnność jest przysłówowa. Podczas naszego 10-dniowego pobytu w Pekinie otaczano nas na każdym kroku niezwykłą troskliwością, pokazano nam Pałac Zimowy, oraz Pałac Letni cesarzy chińskich — dziś olbrzymie muzea, oraz inne zabytki. Łodziąmi jeździliśmy po jeziorze i kanałach parku Pei Hai i zwiedziliśmy słynną Tien Tan-Swiatełnię Nieba oraz świątynię 501 Budów, otoczone przez rząd Chińskiej Republiki Ludowej największą troskliwością. O tych pamiątkach przeszłości napisano liczne tomy. Widzieliśmy chińską operę, zapraszano nas na zabawy, karmiono nas... Po trzech już dniach musiałem popuścić pasek o jedną dziurkę.

Dokuczało mi lewe ucho, na które po długim locie całkowicie ogłuchłem. Gdy o tym powiedziałem naszemu opiekunowi, majorowi Fun, natychmiast zadzwonił do szpitala wojskowego i wrócił po chwili z odpowiedzią, że lekarz na mnie czeka, trzeba tylko abym wsiadł do jego samochodu stojącego przed wejściem do hotelu. Kierowca ma już odpowiednie instrukcje. Przed wejściem stały dwie limuzyny — wsiadłem do pierwszej. Jechaliśmy przez budujące się rozległe dzielnice. Wszędzie pełno rusztowań, tu i ówdzie wzdłuż szerokich asfaltowych jezdni wykończone już surowe bloki. Pekin — „Zagłębie Budowlane” jest istotnie imponujące. Dawno już pozostało miasto za nami. Samochód pędził coraz dalej w stronę gór. Jakos daleko ten szpital — pomyślałem. Wreszcie przejeżdżamy przez otwartą bramę. Szpital jest ogromny. Na dużym placu

Zrozpaczony szofer wciągał kombinazon, ściągał go, przemawiał do nas, przestawał przemawiać, wyrażał się o rzeczywistości pozytywnie, wyrażał się negatywnie, to znowu siadał naprzeciw chłodnicy z korbą, mogącą pobudzić do życia sześciopiętrowy transatlantyk, i miał taką minę, jaką miewa męczennik dziurawiący skalę kroplami własnego potu.

Przyglądaliśmy się jego pracy w milczeniu. Cóż mogliśmy poradzić? Nie wiedzieliśmy nawet, co to jest karburator?

Wreszcie szofer poprosił, abyśmy mu pomogli rozpedzić wóz.

Poruszenie bowiem tego wozu bez pomocy pasażerów było niemożliwością.

W odpowiedniej chwili, a chwila była wtedy odpowiednia, gdy motor się namyślił, należało wóz pchnąć, odbić się od ziemi, a biada temu, kto odbił się za późno: spaść na jezdnię i stać się ofiarą przejeżdżających „studobakerów”.

„Wehikuł czasu” była to piekielna maszyna, obmyślona w latach okupacji, w samym zenicie rozkładu gospodarczego Trzeciej Rzeszy, należała do serii „Tempo” i oto dlaczego ten felieton nosi tytuł jednej z fantazji Wellsa.

Gdyby w czasach Bolesława Prusa używano takich maszyn do rozwożenia piasku, nie opłakiwalibyśmy ruin starej Warszawy. Suma też, wylana z powodu zburzenia tych pięknych dzielnic, byłaby mniejsza o tę ilość piasku, której by nie dowieziono wcale.

Te gorzkie myśli snuliśmy i jeszcze smutniejszym poczuliśmy się oddawać, gdy oto „Tempo” nadziało się na grzbiet pochylonej wierzby i z budki szofera wyrzucił krzyk: — O, ty saparmuka twoja była! teraz dopiero będę miał mazurę co kilometr!

Misja jednak, choć z opóźnieniem, dokonała się: Staff na „Wybór Poezji” zgodził się; litkuz został przyzwolony; przepisy; maszyny „Czytelnika” wydrukowały książkę na termin.

W gospodarstwie ówczesnym tak niekiedy bywało: to, co zepsuła jedna maszyna, zaraz naprawiała druga.

ZYGMUNT FIJAS

I kraszek prozą

Przeprowadzając samokrytykę, obiecał, że się zmieni. I rzeczywiście: zapuścił wąsy!

O pewnym pocie: chodzi, jakby na głowie miał laur zamiast kapelusza.

Zła to dyskusja, gdy wszyscy zostają przy swoich zdaniach.

Cóż to za szczęściarz! Jemu nawet każda polska zapalka dostarcza ognia!

Gdy przełożony mówi choćby takie słowa, jak: „Dzisiaj pada deszcz” — to nie są to zwykłe słowa!

Patrz w przyszłość i w dal, ale przechodząc przez ulicę — nie zapominać, że może cię przejechać samochód.

Powołujesz się na swoje siwe włosy?! Iluż to już widziałem draniów z siwymi włosami!

Gdyby Marconi wiedział, że dojdzie do megafonów, prawdopodobnie nie kwapiłby się z wynalezieniem radia.

Brudne ręce przeważnie bywają czyste i pachnące dobrym mydłem.

Idąc do ślubu, nie zapomnij zabrać ze sobą obłubienicy!

Jeżeli przez dłuższy czas wali w bęben, nie dopuszczając do głosu żadnych innych instrumentów, to znajdują się gorliwcy, którzy oświadczą, że tylko o takiej muzyce i marzyli!

I w Warszawie można się urodzić pacanowianinem!

Pięka z agana

ROK MICKIEWICZOWSKI

Opólnotódką Akademię Mickiewiczowską, mały u góry cytuję:

„O, gdybym kiedy dożył tej pociechy, Zebym te książki zbliżył pod strzechy!”

O BIAŁYCH MISIACH

K. Szpalski i M. Zatućki, tłumacząc książkę dla dzieci Michalkowa „Miś na północy” (wyd. „Nasze Księgarnie”), dokonali m. in. takiego „wolnego” przekładu:

„Opodal z zimowych

Ocknawszy się snów,

W ów dzień niedźwiedzia

Znow wysła na łów”...

Nie umawiajcie w dzieci, że białe misie zapadają w sen zimowy. Jeśli sami macie co do tego wątpliwości, to zażycie do podrecznika zoologii dla szkół podstawowych!

CUKIER „BRIDGE”

„Łódzki Express Ilustrowany” z 5.XI z dumą donosi, iż:

„Od kilku dni klienci kawiarni Warszawskich Zakł. Gastr. otrzymują do czarnej kawy bardzo efektowny cukier „Bridge”. Małe kostki tego nowego gatunku cukru mają kształt symboli karcianych...”

„Ale informację tę „Express” zaopatruje w żalony szczegół: „Szkoła tylko, że WZG mają mało zapasy tego „bridżowego” cukru i prawdopodobnie będą musiały powrócić do dawnych kostek...”

To bardzo smutne! „Expressie”, nie pozwól, by zabrakło kostek cukru „Bridge”. „Expressie”, walcz o ten cukier! Przecież innych trudności zaopatrzeniowych w kraju nie mamy...”

NEWA I FONTANKA

Jeśli most w Petersburgu, to oczywiście nad Newą. Tak, w uściszeniu, poetyckim, mógł sadzić Włodzimierz Słobodnik, autor zamieszczanego w „Kronice” (Nr 14) utworu „Na moście Anickowa w Petersburgu”. Musimy, niestety, rozczarować Włodzimierza Słobodnika. Most Anickowa w Petersburgu i w dzisiejszym Leningradzie wznosi się nie nad Newą, lecz nad skromną, spokojną rzeczką, a właściwie kanałem zwanym Fontanką.

A swoją drogą nie zawadziłoby, aby i redaktorzy „Kroniki” uświadili coś niecoś o Fontance i topografii mostów petersburskich!

KSIĘGI, PROSZĘ PANSTWA, KSIĘGI!

Zaproszenia, obficie rozesłane na bardzo starannie, natłuszczone, przygotowane

niezwykłą sumiennością. Każdy członek obsługi pociągu uzbrojony był w drucianą kłapkę i tylko czyhał na zjawienie się brzęczącego nieprzyjaciela. W ogóle dyscyplina w Chinach jest zdumiewająca. Nie ma tam np. na kolejach żadnego tłoku i ścisła. Pasażerowie ustawiają się w kolejce i wsiadają w zupełnym spokoju. (Oby tak było na liniach podwarszawskich). O wskakiwaniu i wyskakiwaniu nawet mowy nie ma. Na peronie każdego dworca, na pół metra od brzozy, wymalowana jest biała kreska, której nie wolno przekroczyć. Widziałem, jak dygnitarze z Ministerstwa żegnali na dworcu pekińskim polską delegację kolejarzy. Stąpali na palcach, tuż przy białej kresce, żeby raz jeszcze podać rękę polskiemu kolegom, znajdującym się w wagonie. O przekroczeniu kreski mowy być nie mogło.

Już w Pekinie mogliśmy się przekonać o tym. Jak popularna jest w Chinach gimnastyka. O określonych porach dnia wszyscy urzędnicy i pracownicy urzędów i przedsiębiorstw ćwiczą obok swych miejsc pracy na ulicach i placach miasta. Podczas postojów na większych stacjach prawie wszyscy pasażerowie wsiadali i gymnastykowali się według komend, podawanych przez megafony. Ćwiczyły kobiety i mężczyźni, chłopcy i dziewczęta, nawet starszyszkowie. Świetny był grubelek, któremu pot strumieniami spływał po twarzy, brzuszek podskakiwał a łuste ręce i nogi fruwały w powietrzu.

Szybko minęła podróż przez Kraj Środka. Za oknami migły plantacje bawelny, pola ryżowe, wioski i miasta. Koła dudniły na moście, prowadzącym przez potężną Żółtą Rzekę Hoang-Ho, a po dwóch dniach jazdy przybyliśmy do trójmiasta Uchan, składającego się z miast Han-Kau, Chan Yan i U Czau. Motorówka przepłynęła przez największą rzekę Chin, a jedną z największych na świecie, Jang Tse Kiang

mającą 4,930 km. długości. Nasi chińscy przyjaciele pokazali nam zabytki miasta, prowadzili nas do Parku Sun Yat Sena, do pięknego Domu Kultury, gdzie witały nas uroczyste przedszkolanki z dużymi kolorowymi kokardkami w czarnych włoskach. Pokazali nam też ogród zoologiczny. Zdało się, że w Uchan biali „długonosi” są rzadkością, bo dla zwiedzających ogród byliśmy stanowczo większą atrakcją niż małpki czy tygrysy w klatkach. Zwiedziliśmy również Uniwersytet Uchański, znajdujący się w górach za miastem. W pobliżu uroczego jeziora. Witano nas tam bardzo popularną w Chinach „Kukuleczką”. Z okien wagonu podziwialiśmy piękno górskiego krajobrazu w prowincji Kwan Si. Widzieliśmy pierwsze drzewa bambusowe i obserwowaliśmy, jak powoli, ale stale, posuwał się w górę słupek ręki w termometrze na korytarzu wagonu.

Ostatnią noc na terytorium chińskim spędziliśmy w malowniczym mieście Nan Ning, nad rzeką Si Kiang. W nocy następnego dnia dotarliśmy do granicy Wietnamu.

JERZY ŚLIZIŃSKI

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW
POLSKICH
Oddział w Łodzi
NAKLADEM RSW „PRASA”

Adres Redakcji:

Łódź, Piotrkowska 96, I p. Tel.: 244-79

Rekiosów nie zamówionych

nie zwraca się

Prenumeratę miesięczną wynoszącą

z 2,40 przyjmują Urzędy Pocztowe

i listonosze.

Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź.

Zwrick 17. Zam. 3701. Pap. druk. sat.

60 g. V kl. XII. 55. D-6-14381.

Przerywniki na str. 3 i 5
K. Baranieckiego